W numerze: O sprawach młodzieży • Kłopoty z własnością • Tajna misja profesora Frey'a • Z notatnika autentysty • Miniatury • List z powiatu • Sztuczny nauczyciel • Felietony • Recenzje • Polonica

odgłosu

TYGODNIK

ROK VIII

Nr 16 (392)
25. IV. 1965
10 stron
Cena 1 zł

„Elżbieta" Fot. A. Idziński

JULIAN RADWANSKI

# POWRÓT Z TAMTEGO ŚWIATA

— Pierwszym wrażeniem, jakiego doznałam po dojściu do świadomości, było namaszczanie olejami świętymi. Tak, proszę pana... Poczułam chłodne dotknięcie na mych powiekach i ono jakby ocuciło mnie.

Z dala zaczęły dochodzić do mnie jakieś odgłosy, ni to szum morza, ni to cichy warkot maszyny; początkowo nie widziałam nic — tylko jakąś mgłę, ale powoli dostrzegałam już w niej plamy jasne i ciemne... potem otoczyły mnie migotliwe płomyki, było ich mnóstwo, nade mną, obok... Dopiero po dłuższym czasie — a może to była chwila? — zaczęłam rozeznawać się w otoczeniu.

Ze zdziwieniem poznałam matkę, zapłakaną, wpatrzoną we mnie; potem zobaczyłam księdza mruczącego coś i kreślącego krzyże w powietrzu, a obok mnie, po bokach, stały dwie gromnice, wysokie i rozjaśnione płomieniem... Trudno mi było zebrać myśli... leżałam otępiała, z potwornym uczuciem pustki w głowie, w sobie, a przede wszystkim w nogach... Nóg nie czułam zupełnie... Nie wiedziałam gdzie jestem, ani co się ze mną stało... Tylko rozumiałam obecność gromnic i księdza. Czułam się jak na swoim pogrzebie. Nie słyszałam nic, tylko ten szum czy warkot... Proszę pana, to jest okropne, kiedy człowiek nie wie, co robi, kiedy nie wie, dlaczego wokół płacza, kiedy nie rozumie, dlaczego leży jak kloc i nie może ruszyć żadnym kawałeczkiem własnego ciała!

Dziś, po miesiącu leżenia wiele rzeczy widzę inaczej, przemyślałam je i osądziłam, ale wtedy... Dzisiaj wiem, że trzeba było długich dni i wielu starań lekarzy, ażebym mogła zobaczyć siebie w otoczeniu gromnic i rozpoznać matkę, po raz pierwszy płaczącą nade mną. Dziś rozumiem, że wszystko to, co zrobiłam, nie miało najmniejszego sensu, ale po tamtym — pozostało mi dziś jedynie słabe wspomnienie zdziwienia czy też niepokoju... Dlaczego przyjęłam wtedy obecność mojej matki tak obojętnie, chociaż zdaję sobie sprawę z tego, że jej nienawidzę? Nie wiem. Przecież to przez nią właściwie...

Proszę mi wierzyć, że dom mój był dla mnie koszmarem... i nie tylko dla mnie. Podobną udrękę przeżywał mój brat — i ojciec... Zresztą nie chciałabym o tym mówić. Tu przynajmniej jest mi dobrze; wszyscy mnie lubią, pomagają mi — i lekarze, i chorzy; jestem tutaj wolna od szykan, wymyślań i bicia. O, widzi pan? Czytam właśnie takie byle co, „Hrabiego Monte Christo", ale przynajmniej ta książka odwraca uwagę od życia.

Słuchałam tych wynurzeń ze wzruszeniem i pewnym zażenowaniem. Patrzę w dobrze mi znaną twarz młodziutkiej dziewczyny i próbuję przeniknąć ją, zrozumieć i — zaufać jej słowom. Blade czoło, szerokie, śmiało zarysowane brwi i czarne oczy czynią wrażenie spokoju i zrównoważenia, ale już nieco za szerokie wargi, rozchylające się w uśmiechu i zacinające się czasem ostrą linią, świadczą o pracy myśli, o momentach zastanowień. Nad czym? By nie powiedzieć za dużo? Przecież wiem o niej bardzo wiele, więcej niż chciałaby, a mimo to, co chwila wyczuwam przemilczenie, unik... Wydaje się nawet dość ożywiona i chyba zadowolona z mej wizyty.

— Cieszę się, że pan profesor był łaskaw do mnie przyjść. Dawniej wiele koleżanek i znajomych odwiedzało mnie, przynosiło kwiaty:

Dalszy ciąg na str. 4

HALINA BATOROWICZ

# Ani intruz ani maniak

Kiedyś poznałam człowieka, który, używając modnego dzisiaj słowa, był poważnie sfrustrowany. Na liczne pytania odpowiadał ogólnikami i właściwie straciłam nadzieję, że dowiem się kiedykolwiek, gdzie leży przyczyna tego przykrego napięcia emocjonalnego, w jakim nowo poznany mężczyzna od pewnego czasu podobno się znajdował. Dopiero w jakiś czas później okazało się, że:

człowiek, którego poznałam na konferencji jest inżynierem. Ma niewiele ponad 40 lat, cieszy się opinią solidnego, ambitnego pracownika. Kiedy przed wielu laty jako robotnik przyszedł do fabryki, majster namówił go na technikum. Zrobił maturę i zapisał się na studia zaoczne. Przez cały czas nauki ani na jeden dzień nie opuścił pracy. Przez cały czas towarzyszyła mu sympatia robotników z którymi pracował i uznanie dyrekcji. Tak było i później, kiedy z inżynierskim dyplomem wrócił na ten sam oddział. Ale pewnego dnia wszystko się zmieniło. Dyrektor przez tydzień z rzędu ustami sekretarki odpowiadał, że „jest bardzo zajęty", a jego zastępca schwytany w przelocie na korytarzu nie patrząc w twarz inżyniera powiedział:

— Nie wiedziałem, że taki z pana maniak.

— Maniak? — powtórzył inżynier zdziwiony i zaskoczony.

— I do tego intruz — dodał zastępca. — Po co bez przerwy chodzisz pan do dyrektora?

— Minęło pół roku — próbował tłumaczyć inżynier — i żadnej odpowiedzi.

— Nie bądź pan taki Edison!...

Inżynier wrócił na oddział, do dyrektora owszem, przestał chodzić, ale na kilka miesięcy zupełnie się załamał. Myślał o tych projektach nocami, zostawał w warsztacie, kiedy inni szli już do domu, przedstawił trzy wnioski. Chodziło mu przecież o ratowanie ludzkiego zdrowia, o całkowite bezpieczeństwo pracy. Myślał: jestem racjonalizatorem. Powiedzieli mu: maniakiem i intruzem.

To nie jest wcale jedyny, jakby specjalnie na dziennikarski użytek pomyślany przykład.

Wszędzie tam, gdzie mowa o wynalazczości pracowniczej i tzw. dużej i małej racjonalizacji — nie brak przymiotników w kolorze zielonym. Najczęściej jest to popularny i dość lubiany przez konferencyjnych mówców slogan: „Zielona droga dla racjonalizatorów".

W wielu zakładach Łodzi i województwa taka właśnie zielona droga wymoszczona jeszcze zrozumieniem i dobrą wolą dyrektora, naczelnego inżyniera, Klubu Techniki i Racjonalizacji — faktycznie istnieje i prowadzi do poważnych sukcesów (o czym będzie mowa później). Ale nie wszędzie.

Jest rzeczą zupełnie oczywistą twierdzenie, że twórczość wynalazcza i racjonalizatorska, to jeden z istotnych czynników postępu technicznego i ekonomicznego. Wynalazczość i racjonalizacja jako ruch społeczny obok wspomnianych wielkich wartości techniczno-ekonomicznych spełnia również funkcję społeczno-wychowawczą. Osobiste zaangażowanie twórcy projektu w konkretne usprawnienie produkcji, polepszenie warunków pracy załogi etc. jest niczym innym jak zespoleniem dążeń załogi z interesami społecznymi. Jedna złotówka włożona w realizację projektu racjonalizatorskiego czy nowatorskiego owocuje — jak wykazały liczne badania, w dziewięciu złotówkach.

Przed niespełna dwoma laty w łódzkim okręgu przemysłowym złożono prawie 6 tysięcy projektów wynalazczych i opatentowano 25 wynalazków. W rok później już 7.311 projektów racjonalizatorskich i 52 wynalazki. Efekty ekonomiczne?

W roku 1963 wprowadzone do produkcji wnioski i wynalazki pozwoliły zaoszczędzić gospodarce narodowej blisko 100 mln. zł. W roku ubiegłym suma ta urosła do prawie 150 milionów.

Biorąc to wszystko pod uwagę trzeba z miejsca odrzucić, jako nieprawdopodobne, ewentualne twierdzenie o zbyt małej aktywności załóg robotniczych zakładów w Łodzi i województwie. Tymczasem statystyki mówią, że my Polacy nie możemy pochwalić się zbyt efektownymi cyframi, że w NRD na 1000 zatrudnionych przypada rocznie 110 zgłoszonych projektów racjonalizatorskich, na Węgrzech — 97, w Związku Radzieckim — 72, w Czechosłowacji — 76. A u nas zaledwie 13.

Jeżeli wyeliminować z kolei mniemanie, a zrobić to można z czystym sumieniem, że Polacy są narodem mniej uzdolnionym technicznie od Czechów czy Węgrów, to zostanie już tylko pytanie: jakie są przeszkody stojące na drodze pełnego rozkwitu ruchu racjonalizatorskiego i wynalazczego.

W czterdziestu zakładach (są wśród nich m. in.: Przedsiębior-

Dalszy ciąg na str. 3

# ze ŚWIATA

*„Escalation", czyli stopniowanie agresji w Wietnamie doprowadziło Stany Zjednoczone do punktu, w którym nawet zwolennicy stosowania siły zaczynają wahać się i zastanawiać, co można na tej drodze osiągnąć. Tym chyba podyktowana była johnsonowska oferta „rokowań bez warunków". Oczywiście, oferta ta, której towarzyszą dalsze naloty na Demokratyczną Republikę Wietnamu i prowadzenie „wojny psychologicznej", nie mogła zadowolić opinii światowej i nie została przez nią zaakceptowana. Jednak stanowi pierwszy odruch Waszyngtonu w kierunku rokowań. Czyżby dotarło wreszcie do świadomości polityków zza oceanu, że — by posłużyć się słowami „Osservatore Della Domenica" — „perspektywy w wojnie wietnamskiej są przeciwko Amerykanom i Zachodowi"?*

*Pozostawiając pytanie bez odpowiedzi, wyliczmy za komentatorami zachodnimi płaszczyzny, na których ewentualnie możliwy byłby jakiś negocjacyjny kontakt między walczącymi stronami: A więc: południowoazjatycka podróż Gordon-Walkera, możliwość wizyty w tym rejonie świata sekretarza generalnego ONZ — U Thanta oraz tzw. „formuła kambodżańska", czyli zwołanie konferencji 14 państw w sprawie neutralności Kambodży, na której zainteresowane strony w sposób nieformalny mogłyby omówić problem wietnamski.*

*Są to jednak wszystko domniemywania i na razie nic więcej. Fakty tymczasem wskazują na nasilenie agresji amerykańskiej, czego wyrazem jest bombardowanie północnowietnamskich ośrodków nie tylko w ciągu dnia, lecz i w nocy.*

*Problemowi wietnamskiemu w dużym stopniu podporządkowana była wizyta premiera W. Brytanii — Wilsona w Stanach Zjednoczonych. Zgodnie z wcześniejszymi oświadczeniami rządu brytyjskiego, Wilson poparł bez zastrzeżeń amerykańską politykę wobec Wietnamu. O przyczynach — pisałem szczegółowiej w jednym z poprzednich komentarzy. Po prostu trudności gospodarcze Anglii skłaniają do szukania pomocy w Stanach Zjednoczonych i dlatego przyjęła wysoką cenę ustępstw politycznych.*

*Takie stanowisko labourzystowskiego rządu może mieć jednak fatalne następstwa. W oficjalnych kołach londyńskich panuje duże niezadowolenie np. z faktu, że prasa amerykańska tak entuzjastycznie powitała Wilsona. Te pochwały — podkreślają komentatorzy — mogą wzmocnić opozycję ze strony lewego skrzydła Partii Pracy, a także utrudnić jakiekolwiek kroki mediacyjne w konflikcie wietnamskim, ponieważ wyznaczają Wielkiej Brytanii pozycję stronniczą.*

*Drugim zasadniczym celem wizyty premiera W. Brytanii w Waszyngtonie były sprawy ekonomiczne, finansowe i monetarne, a przede wszystkim utrzymanie międzynarodowej pozycji funta. W tym celu Wilson podjął zabiegi o nową pożyczkę z Międzynarodowego Funduszu Monetarnego w niebagatelnej wysokości — 1—1,5 miliarda dolarów.*

*Przy okazji rozprawił się także z koncepcjami de Gaulle'a, powrócenia do standardu złota. Jako, że wypowiedź utrzymana była w dość twardym tonie, może nie pozostać bez wpływu na stosunki francusko-angielskie.*

*Zajmijmy się z kolei innym kompleksem zagadnień — sprawami niemieckimi. Nagromadziło się kilka faktów, które ciągle aktualny problem niemiecki wydobyły znów na porządek dnia. Zaliczyć trzeba do nich: prowokacyjną sesję Bundestagu w Berlinie zachodnim, oświadczenie rządu NRF w sprawie układu polsko-radzieckiego oraz rozmowy Brandta z Johnsonem. Trudno przy tym oprzeć się wrażeniu, że Bonn bardzo niepokoi się zawsze wtedy, kiedy ośrodek zainteresowania opinii światowej oddala się od Niemiec zachodnich. Próbuje się wówczas przeciwdziałać temu, czy to właśnie drogą demonstrowania „swoich praw" do Berlina zachodniego, czy protestowania przeciwko ostatecznemu charakterowi granicy na Odrze i Nysie, czy też rozsiewania pogłosek o inicjatywie na temat Niemiec, która — co z zamierzoną niedyskrecją ujawnił Brandt w Waszyngtonie — mogłaby przyjąć formę deklaracji mocarstw zachodnich z okazji 20-lecia zakończenia II wojny światowej.*

*Burmistrz Berlina zachodniego nie pozostawił przy tym nawet cienia wątpliwości, że nie chodzi tu o jakiekolwiek konstruktywne rozwiązanie, biorące za punkt wyjścia realia. (Tak np. zastrzegł sobie, aby nie rozpatrywać sprawy granic). Jego zdaniem — wielce pożyteczne byłoby „powtórzenie, czy też umocnienie starych zasad".*

*Wypowiedź Brandta wobec dziennikarzy amerykańskich zbiegła się z publikacją kanclerza Erharda o celach polityki NRF.*

*Sens tej publikacji jest oczywisty — wykazanie, że „dla Republiki Federalnej egzystuje tylko jedna droga: dalsze wzmacnianie sojuszu atlantyckiego".*

*Wspominam o niej jednak nie dlatego, by raz jeszcze przekazać Czytelnikom po stokroć już wypowiadane przez Bonn jego wcale niepokojowe koncepcje polityczne, lecz by zwrócić uwagę na jeden szczególnie moment: wyrażoną przez Erharda „ponowną gotowość do podjęcia rozmów z ZSRR na szczeblu szefów rządów". W tym ujęciu aspekcie komentowana jest wypowiedź kanclerza. Niemal wszystkie gazety zachodnioniemieckie wybiły tę myśl w tytułach, podkreślając wagę sformułowania.*

*Żeby jednak w ślad za gotowością do dialogu z ZSRR szła w NRF gotowość wyciągania właściwych wniosków z dokonanych i nieodwracalnych faktów...*

*I na koniec jeszcze jedna uwaga. Rekomendacja, jaką dał planowi Rapackiego w norweskim parlamencie min. Lange, spotkała się z hałaśliwym atakiem duńskiego dziennika „Information", który nawiązując do zbliżających się wyborów do Stortingu nazwał wystąpienie Langego „kiełbasą wyborczą". Tak tedy duński dziennik mimo woli przyznał, jak idea stref atomowych popularna jest w Norwegii. Nie dziwi nas, ale zawsze przyjemnie odnotować.*

*W. SŁAWSKI*

# Kronika TYGODNIA

**NIEDZIELA,**
**11 kwietnia**

✳ Reakcje prasy światowej na przemówienie prezydenta Johnsona w sprawie Wietnamu:

**„Prawda":** Czy przywódcy amerykańscy sądzą, że ktokolwiek mógłby się zgodzić na negocjacje gdy trwają bombardowania?

**„La Nation":** Pozostaje pytanie, czy zwrot nie nastąpił za późno?

**„Zenminżipao":** Przemówienie Johnsona oznacza krach szantażu wojennego... imperializmu USA i stanowi odbicie jego wzrastających trudności i izolacji.

**„Nhan Dan" (WRD):** Zdecydowanie walczymy do końca — oto nasza odpowiedź.

✳ Jugosławia i Norwegia podpisały porozumienie w sprawie zacieśnienia współpracy na polu rozwoju reaktorów atomowych dla celów pokojowych. Norwegia udzieli informacji i konsultacji w związku z jugosłowiańskim planem wybudowania w 1972 roku reaktora atomowego.

✳ Rada Naczelna Włoskiej Partii Jedności Socjalistycznej wystąpiła z żądaniem, aby Włochy nie przedłużyły swego członkostwa w NATO, gdy upłynie termin ważności tego układu.

**PONIEDZIAŁEK,**
**12 kwietnia**

✳ Stan napięcia jaki wytworzył się między krajami arabskimi a NRF na tle decyzji tej ostatniej nawiązania stosunków dyplomatycznych z Izraelem; wykorzystują zachodni sojusznicy Bonn, którzy podejmują aktywne próby ostatecznego wymanewrowania NRF z rynków arabskich.

✳ Komisja Wykonawcza EWG postanowiła uwolnić import jaj z Polski do państw Wspólnego Rynku ze specjalnych dodatkowych opłat stosowanych dotychczas przy imporcie z krajów nie należących do EWG.

**WTOREK,**
**13 kwietnia**

✳ ChRL potwierdziła brytyjskiego charge de affaires w Pekinie, iż zapowiedziana wizyta b. ministra spraw zagranicznych W. Brytanii, Gordon Walkera, w Chinach, celem przedyskutowania problemu wietnamskiego jest niepożądana.

✳ Według oświadczenia bułgarskiego ministra oświaty, Ganczo Ganeva, w najbliższym czasie w Bułgarii zostanie wprowadzony obowiązek uzyskania przez wszystkich średniego wykształcenia.

✳ Premier Indii, Shastri jest autorem książki o Marii Curie-Skłodowskiej. Książkę tę Shastri napisał podczas pobytu w więzieniu w okresie walki przeciwko kolonialistom angielskim.

✳ Przebywający na Kubie emigranci polityczni z różnych krajów Ameryki Łacińskiej, postanowili utworzyć międzynarodową łacińsko-amerykańską brygadę ochotniczą, która gotowa będzie udać się do Wietnamu na wezwanie południowowietnamskiego FWN.

✳ Agencja Tanjug donosi, że w maju i czerwcu br. odwiedzą Jugosławię trzy grupy przemysłowców i businessmanów ze Stanów Zjednoczonych. Celem wizyty jest rozwój handlu i stosunków gospodarczych między obu krajami.

**ŚRODA,**
**14 kwietnia**

✳ Przewodniczący zachodnioniemieckiej CSU, Franz Josef Strauss, wystąpił z propozycją utworzenia autonomicznego arsenału nuklearnego Europy zachodniej. Arsenał taki, zdaniem Straussa, powinien zostać utworzony na terytorium Francji. Początkowo prawo dysponowania użyciem broni nuklearnej miałoby przysługiwać władzom francuskim, z czasem zaś „Radzie Nuklearnej", w skład której wchodziliby ministrowie obrony poszczególnych krajów (a więc i NRF!).

✳ „The Economist" o zasobach finansowych Watykanu: „Nawet przy najbardziej ostrożnej ocenie można dojść do wniosku, że portfel posiadanych przez Watykan — największego akcjonariusza w świecie — akcji przedstawia równowartość ponad 2 miliardów funtów szterlingów czyli 5 miliardów 600 milionów dolarów. Z tej ogólnej kwoty tylko około $^1/_{10}$ znajduje się we Włoszech. Watykan jest międzynarodową potęgą finansową, którego dające się zrealizować aktywa równają się z grubsza oficjalnym rezerwom złota i dewiz we Francji.

**CZWARTEK,**
**15 kwietnia**

✳ W związku z pogłoskami o zamiarze sekretarza generalnego ONZ U Thanta odwiedzenia Chin i DRW; dziennik „Zenminżipao" pisze: U Thant powinien potępić przestępstwa wojenne popełnione przez USA i zażądać od nich niezwłocznego zaprzestania agresji przeciwko Wietnamowi Południowemu oraz bombardowania Wietnamu północnego. Zamiast tego U Thant chce odwiedzić Chiny i DRW, aby szukać rozwiązania problemu wietnamskiego. Puka on najwidoczniej do niewłaściwych drzwi.

✳ Agencje donoszą z Hawany, że premier Fidel Castro poprowadził członków swego gabinetu i dziesiątki tysięcy urzędników państwowych na plantacje trzciny cukrowej, gdzie przez tydzień pełnić będą ochotniczą pracę przy ścinaniu trzciny. Do ochotników przyłączyło się 7 tysięcy studentów z Uniwersytetu Hawańskiego wraz z rektorem i profesorami. Praca ochotnicza odbywa się przy dźwiękach nowego tańca kubańskiego „Mozambik", którego kompozytor przywieziony został na plantację wraz z całym swoim zespołem.

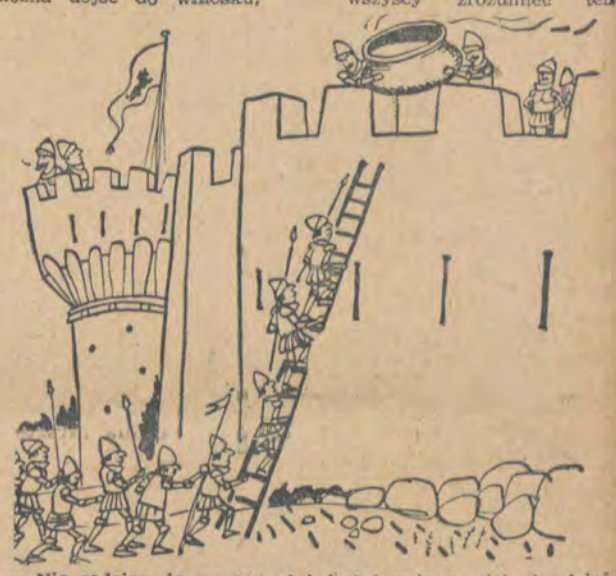

— Nie sądzisz, że wrzący olej jest bronią o wiele bardziej humanitarną niż topiony ołów?!

**PIĄTEK**
**16 kwietnia**

✳ W bejruckim dzienniku „Al Ansuar" opublikowana została wypowiedź Mao Tse-tunga, skierowana do delegacji organizacji wyzwolenia Palestyny, która przebywała w Chinach w ubiegłym miesiącu. Azja — pisze Mao Tse-tung jest największym kontynentem świata. Zachód pragnie kontynuować eksploatację tego obszaru, ponieważ nie lubi zarówno nas jak i was. Musimy wszyscy zrozumieć ten fakt. Walka Arabów przeciwko Zachodowi jest obecnie walką przeciwko Izraelowi. Tak więc Arabowie winni bojkotować Europę i Amerykę.

✳ W Nowym Jorku ukazała się książka pt. „Skandal milczenia", zawierająca krytykę działalności Kościoła Katolickiego w Stanach Zjednoczonych. Autor książki, Edward Keating w wywiadzie prasowym powiedział, iż Kościół w USA uprawia rasizm. W południowych stanach USA istnieje segregacja rasowa w parafiach i Murzynom nigdy nie pozwolono uczęszczać do kościołów białych oraz pomijano ich jeśli ośmielili się przystąpić do komunii razem z białymi zamiast z ludźmi własnej rasy.

✳ Grupa deputowanych do zachodnioniemieckiego Bundestagu zamierza złożyć w bieżącym miesiącu wizytę w Rumunii na zaproszenie strony rumuńskiej. Prasa NRF podkreśla, iż będzie to pierwszy wypadek kiedy grupa parlamentarzystów Bundestagu udaje się do kraju socjalistycznego, wyłączając ZSRR.

**SOBOTA,**
**17 kwietnia**

✳ Na łamach „Komunista" ukazał się artykuł pióra H. Momdżiana, który jest głosem w dyskusji na temat aktualnych problemów materializmu historycznego.

Autor stwierdza, iż mimo ukazania się szeregu ciekawych, nowatorskich prac z tego zakresu, istnieją podstawy do stwierdzenia, że w materializmie historycznym istnieją zjawiska stagnacji.

✳ W roku bieżącym kołchozy ZSRR otrzymają kredyt państwowy na sumę ponad 7 miliardów rubli, wobec 4.706 milionów w roku 1963.

# POLONICA

**W DOMU ELIZY ORZESZKOWEJ**

Jak podaje prasa radziecka, w Grodnie nad Niemnem mieszka kilku pisarzy białoruskich, m. in. Wasilij Bykow i Aleksiej Karpiuk. W grudniu ubiegłego roku powstał tam oddział pisarzy BSRR, którego siedzibą jest dom należący niegdyś do bardzo popularnej w Rosji polskiej pisarki Elizy Orzeszkowej. Przypomnijmy przy tej okazji, że w roku minionym ukazała się w Związku Radzieckim „Marta" Elizy Orzeszkowej, a ze współczesnej literatury polskiej przekłady następujących książek: „Urząd" Tadeusza Brezy; „Kochana rodzinka i ja" Natalii Rolleczek oraz antologia polskiej poezji okresu międzywojennego.

(g.)

**„ESTRADA" W OCENIE RADZIECKIEGO KRYTYKA**

Miesięcznik „Tieatr" w swoim 3 numerze z marca br. zamieścił recenzję z występów naszej „Estrady" w Moskwie. Szczególnie dużo miejsca poświęca krytyk wykonaniu solowej partii tanecznej przez Lidię Skrzypkównę; opartej na popularnej melodii „Malowana lala"; oraz piosenkom Barbary Rylskiej i zespołowi Krzysztofa Sadowskiego. Autor recenzji wyczerpał wszystkie możliwe przymiotniki dla określenia wysokiej klasy aktorskiej i reżyserskiej programu. Zdjęcia artystów polskich wykonane w czasie przedstawienia — uzupełniają tę tak bardzo pochlebną dla naszych artystów recenzję.

**FESTIWAL POLSKICH SZTUK TEATRALNYCH W ZSRR**

„Sowietskaja kultura" z dnia 8. IV. 65 r. donosi, że poczynając od 14 do 20 maja na scenach wszystkich teatrów ZSRR odbędzie się festiwal polskich sztuk teatralnych. Festiwal rozpocznie uroczyste przedstawienie w Teatrze Małym w Moskwie sztuki Leona Kruczkowskiego „Przygoda z Vaterlandem". Ponadto w teatrze im. Wachtangowa już rozpoczęły się przedstawienia fredrowskiej komedii „Damy i huzary". Sztuki teatralne naszych autorów zostaną wystawione na Ukrainie, Białorusi, w Kazachstanie oraz w Tombowie, Kazaniu i Władywostoku. Najlepsze spektakle zostaną następnie pokazane publiczności moskiewskiej na scenie Teatru Kremlowskiego.

POLONICA

# Ani intruz ani maniak

## Dalszy ciąg ze str. 1

stwo Wodociągów i Kanalizacji, Zakłady im. Reymonta, Zakłady Przemysłu Filcowego) specjalna komisja śledziła kiedyś losy bardzo cennych wynalazków zgłoszonych przez członków załogi. Aż w 26 przypadkach wszelki ślad po projektach racjonalizatorskich zaginął, a ich autorzy dowiedzieli się tyle tylko, że „dyrektor projekt odrzucił". Żadnego uzasadnienia, możliwości obrony, żadnych szans na ewentualne wprowadzenie poprawek.

Inna, bardzo bolaca racjonalizatorów i wynalazców sprawa to czas, w którym rozpatruje się projekty. Specjalne przepisy mówia, że złożony projekt musi być rozpatrzony w przeciągu dwóch miesięcy. W wyjątkowych wypadkach termin można przedłużyć, ale po uzyskaniu zgody tzw. czynnika społecznego.

A jak to wyglada w praktyce? W zakładach przemysłu lekkiego w Łodzi zgłoszono 1.434 projekty. W terminie określonym odpowiednimi zarządzeniami rozpatrzono 613 projektów, 465 czekało na decyzje trzy miesiace, 173 — pół roku, 100 — cały rok, a 33 — ponad 12 miesięcy. Podobnie w tym samym przemyśle w województwie. Tam z 608 zgłoszonych projektów aż 21 rozpatrywano ponad rok. Nie lepiej jest w przemyśle metalowym.

Ogólny wniosek: prawie połowa projektów racjonalizatorskich rozpatrywana jest po terminie przewidzianym ustawą, a ponad 2 proc. racjonalizatorów czeka na decyzje o losie projektu powyżej roku. Obliczono, że w 1963 roku w samym tylko przemyśle metalowym Łodzi i województwa z tytułu niezrealizowanych wniosków racjonalizatorskich zaprzepaszczono prawie 11,5 mln. zł, a w budownictwie 5 mln.

Rozwój wynalazczości oparty jest w naszym kraju m. in. na odpowiednich bodźcach materialnych. To zresztą określała wyraźnie przepisy nowego prawa wynalazcz... Tymczasem prelegenci Wojewódzkiego Klubu Techniki i Racjonalizacji mieli możność niejednokrot nie przekonać się o tym, że dyrektorzy niektórych zakładów (nie mówiąc już o głównych księgowych) prawa tego nie znają.

Przepisy określają, że wynagrodzenie za przyjęty projekt wynalazczy wypłaca się bądź na podstawie efektów obliczanych szacunkowo, bądź premię szacunkową — ale tylko za projekty z dziedziny bezpieczeństwa i higieny pracy. Społeczne przeglądy stanu techniki i racjonalizacji niezmiennie „wykrywają" nieprzestrzeganie przepisów i to generalnie na niekorzyść racjonalizatorów. Bardzo częste są przypadki, kiedy racjonalizator zdany jest wyłacznie na subiektywną ocenę i ewentualną „hojność" dyrektora, a w najlepszym wypadku na tzw. wynagrodzenie szacunkowe wówczas, kiedy istnieje pełna możliwość określenia efektów osiąganych przez przedsiębiorstwo. Takie „praktyki" zanotowano w wielu zakładach przemysłu chemicznego, poligraficznego i lekkiego. Tzw. wynagrodzenia szacunkowe tam, gdzie istnieje możliwość określenia efektów ekonomicznych osiąganych przez zakład — są niczym innym jak przysłowiowym datkiem na otarcie łez racjonalizatora.

Niewłaściwie obliczane wynagrodzenia za projekty — to jak mówią racjonalizatorzy — jeszcze pół biedy. Najgorsze jest zaprzepaszczanie wynalazków, odkładanie ich do biurek na czas dłuższy, lub na zawsze. Kiedy w Łodzi i województwie badano niedawno przypadki niezrealizowanych wniosków okazało się, że ani jeden z autorów — racjonalizatorów — nie otrzymał odsetek „za zwłokę". A to przecież gwarantuje Uchwała nr 74 Rady Ministrów.

Pewien inżynier — geodeta w Łodzi wynalazł reper głębinowy, który umożliwił zaoszczędzenie 100 tys. zł. Główny księgowy myślał, myślał, a w końcu powiedział inżynierowi: „Właściwie to na całym tym interesie zyskuje skarb państwa. Niech skarb państwa da panu premię"... Inny inżynier — racjonalizator wynalazł suwak techimetryczny do obliczania wyników pomiarów. Gdyby wynalazek zrealizowano wydajność pracy przy obliczaniu pomiarów wzrosłaby trzykrotnie. Ale ciągle brak jakiegoś podpisu, który umożliwiłby przekazanie odpowiedniej kwoty dla producenta prototypu. I wniosek leży w biurku.

Perypetie, których przyczyną opieszałość, a często wręcz niedbalstwo są przyczyną zaprzepaszczania wielu cennych projektów racjonalizatorskich. W takiej sytuacji nie może rozwinąć się w pełni tak bardzo przez państwo ceniona twórcza inicjatywa ludzi zatrudnionych w produkcji.

Specjalne ustawy i przepisy o ruchu racjonalizatorskim i wynalazczym wydawane przez państwo świadczą o tym jak olbrzymie jest u nas zapotrzebowanie społeczne na świeżą myśl techniczna. Wynalazczość pracownicza umożliwia gospodarce narodowej nie tylko oszczędzanie milionów złotych polskich, ale często również dewiz.

Dzięki wynalazkowi racjonalizatorów z „Łączności" łódzka centrala telefoniczna zyskała kilka tysięcy dodatkowych numerów — a więc to my mieszkańcy Łodzi i Zgierza dostaliśmy w efekcie prezent od racjonalizatorów. Racjonalizatorzy z Żychlina opracowali projekt transformatora piecowego, a pracownicy Fabryki Maszyn Rolniczych „Kraj" w Kutnie stworzyli projekt, według którego zbudowano siewnik o 20 proc. lżejszy od starego typu, bardziej sprawny i przez rolników poszukiwany.

W łódzkich Zakładach im. Gwardii Ludowej zaprojektowano i wykonano urządzenie do zmechanizowania transportu — realizując wniosek wprowadzono tzw. transport podwieszony. Wynaleziono też antyimportową maszynę dzięki której otrzymuje się dobrą, puszystą przędzę z anilany. Oszczędność dla państwa — 26 tys. dolarów. I także w tym samym zakładzie zaprojektowano piec do rozgrzewania wełny prądami wysokiej częstotliwości. Duża oszczędność energii elektrycznej, radykalna poprawa warunków bezpieczeństwa i higieny pracy znów zaoszczędzone 32 tys. dolarów — bo tyle podobny piec kosztuje za granicą.

Używając słów wzniosłych można powiedzieć, że racjonalizator to człowiek zakochany w technice, pragnący swoim wynalazkiem przyczynić się do podniesienia wydajności pracy maszyn i ludzi, do rozwoju polskiej techniki. A więc — nie maniak. Racjonalizator to człowiek, który ma zagwarantowane przepisami prawo otrzymać wynagrodzenie za swój wynalazek i w razie zaistniałych przeszkód o takie wynagrodzenie się upominać. A więc — nie intruz.

Inżynier o którym pisałam na początku, pracuje, jak się ostatnio dowiedziałam, w tym samym co kiedyś zakładzie. Tyle tylko, że na stanowisku naczelnego inżyniera fabryki.

Pewnego dnia zakład borykający się nieustannie z różnymi kłopotami odwiedziła komisja zjednoczenia, a potem kilka innych z ministerstwa. „Przy okazji" stwierdzono, że kiepsko jest m. in. i z postępem technicznym, że w różnych biurkach leżą nigdy niezrealizowane, ba — niezaopiniowane nawet wnioski racjonalizatorskie dotyczące poprawy karygodnych w tym zakładzie warunków bezpieczeństwa pracy załogi. W efekcie doszło do zasadniczych zmian w kierownictwie zakładu. Dobrym — jak twierdzą robotnicy i technicy-opiekunem pomyślnie rozwijającego się dzisiaj zakładowego Klubu Techniki i Racjonalizacji został obecny naczelny inżynier fabryki.

**HALINA BATOROWICZ**

*„Zmierzch na Wiśle"* *Fot. A. Idziński*

# O sprawach młodzieży

**WŁADYSŁAW BORTNOWSKI**

**Reforma egzaminów dojrzałości wywołuje różnorodne opinie. Za wcześnie jeszcze na ostateczny werdykt, ale już obecnie widoczna jest bardzo powściągliwa postawa nauczycieli. Przeważnie nie chcą oni mówić o reformie ani dobrze, ani źle.**

O ile zdołałem się zorientować i na podstawie wypowiedzi nauczycieli, i na podstawie rozmów z młodzieżą, to uczniowie przyjęli „novum" w dwojaki sposób. Większość doszła do wniosku, że można mniej się uczyć; mniejszość natomiast nurtują wątpliwości, czy ich wiadomości wystarczą do złożenia egzaminu wstępnego na wyższą uczelnię.

Wyższe uczelnie znalazły się w stosunkowo dobrej sytuacji. Przy przewidzianym natłoku kandydatów będzie można wybierać i przebierać bez obowiązku zapełnienia limitów. Wiadomo już dziś, że liczba zawiedzionych, których nazwiska nie znajdą się w rejestrze — przyjęcie na studia — będzie większa od szczęśliwców.

W warunkach, gdy nauka jest bezpłatna, a awans na studenta obciąża dodatkowo społeczeństwo obowiązkiem przyznawania niezamożnym stypendiów pieniężnych, mieszkaniowych i stołówkowych, trzeba dawać pierwszeństwo najzdolniejszym i najpilniejszym. Egzamin wstępny jest więc konieczny. On daje minimalne gwarancje, że kandydat przebrnie poprzez studia, chociaż nie zawsze tak jest w praktyce.

Część młodzieży traktuje egzamin wstępny jako „los szczęścia"; albo uda się, albo nie. Próba przecież i tak praktycznie kosztuje niewiele. Wyeliminowanie właśnie tej młodzieży jest ważne, gdyż z jej szeregów tworzy się największy procent tzw. odsiewu.

**Tegoroczni abiturienci szkół średnich będą mieli współzawodników w maturzystach z lat ubiegłych.** W tej grupie znajdziemy obok „łapaczy losu", osoby dobrze przygotowane do egzaminu, tym bardziej, że z praktyki wiedzą one jak ten egzamin wygląda.

Świadectwa szkół zawodowych uprawniają u nas do ubiegania się o przyjęcie na wyższe uczelnie. Lecz egzamin wstępny jest dostosowany do programu liceów ogólnokształcących, a w technikach zakres przedmiotów teoretycznych jest znacznie skromniejszy. Pół biedy jeśli absolwent techników obiera pokrewny kierunek (np. z technikum włókienniczego na wydział włókienniczy Politechniki, czy z technikum ekonomicznego na ekonomię uniwersytecką), chociaż i wówczas musi uzupełnić on swe przygotowanie z tych przedmiotów, z których składa egzamin wstępny.

Natomiast zupełnym nieporozumieniem jest próba dostania się na kierunki humanistyczne posiadaczy matur zawodowych. Zakres programu techników z historii, języka polskiego, języków obcych jest znacznie mniejszy i egzamin kończy się z reguły niepowodzeniem. Są wyjątki. Są i to dobrymi studentami historii czy polonistyki absolwenci techników, ale oni przed egzaminem wytrwałą pracą nadrobili i niedobory programu i niestety, częste niedobory wymagań ze strony nauczycieli.

Skoro liczba chętnych (mam na myśli wyłącznie młodzież, która złoży egzamin, a nie może być przyjęta z braku miejsc) przewyższa liczbę studiujących sprawa wykorzystania wszystkich miejsc na uczelniach nabiera szczególnego ciężaru gatunkowego. Tymczasem zwłaszcza na kierunkach technicznych i matematyczno-przyrodniczych mamy odsiew — rezygnację przymusową, bądź dobrowolną ze studiów już po pierwszym semestrze.

Obecnie na Uniwersytecie Łódzkim na chemii, na biochemii, a także i na innych kierunkach powstały luzy. Z 76 stanowisk studenckiej pracy na chemii już obecnie kilkanaście miejsc jest wolnych. Za nim obecni pierwszoroczniacy osiągną rok końcowy, przytoczona liczba pokaźnie wzrośnie. To są dowody, że egzamin wstępny nie jest systemem doskonałym, a równocześnie szkoły wyższe nie rezygnują z utrzymania wysokiego poziomu naukowego swych absolwentów.

Kwestia obsady wszystkich miejsc przynajmniej w ciągu pierwszego roku studiów jest sprawą poważną. Warto podjąć na ten temat dyskusję, warto przeanalizować wachlarz możliwości i środków zaradczych. Precedens „prób zaradzania" już istnieje.

Podobno niektóre szkoły wyższe nieoficjalnie wprowadziły w praktykę **instytucję wolnych słuchaczy.** Pewnej liczbie osób, które egzamin złożyły a nie zostały przyjęte w poczet studentów, umożliwia się, bez zobowiązań ze strony szkoły, uczęszczanie na wykłady i ćwiczenia, nawet zdawanie kolokwiów, przygotowywanie się do egzaminów semestralnych.

Skoro po pierwszym semestrze zwalniają się miejsca, wolny słuchacz „wskakuje" na podstawie egzaminu i staje się pełnoprawnym studentem. Podobna sytuacja powstaje i po drugim semestrze, kiedy to pewna liczba „wolontariuszy" może awansować.

**Moim zdaniem wolni słuchacze powinni być tolerowani tylko w ciągu jednego roku. Jest to bowiem rok największego odsiewu.**

**Dla uspokojenia czynników finansowych pragnę dodać, że w razie zalegalizowania istnienia wolnych słuchaczy nie będą oni stanowili dodatkowego obciążenia dla budżetu, gdyż nie korzystaliby ze stypendiów, stołówek i domów studenckich, a trochę zużytych przez nich materiałów laboratoryjnych nie powinno stanowić aż problemu finansowego.** Ta sama kadra asystentów na pewno nie będzie się sprzeciwiać, jeśli w grupie znajdą się jedna — dwie osoby „nadprogramowe", zaś dla wykładowcy nie istnieje kwestia czy słucha go 10 osób więcej czy mniej.

Obciążenia finansowe nie są więc związane z zalegalizowaniem na I roku studiów wolnych słuchaczy. Natomiast pozostanie pewne uprzywilejowanie mieszkańców miast, gdzie znajdują się wyższe uczelnie. Skoro bowiem wolny słuchacz nie korzysta z pomocy państwa, musi korzystać z pomocy rodziców lub rodziny. Lecz ten wzgląd chyba równoważy społeczna korzyść, **jaką daje pełne wykorzystanie możliwości dydaktycznych wyższych uczelni.**

Słyszy się u nas utyskiwania na jakoby nadprodukcję humanistów, ale wystarczy wziąć do rąk gazetę i sprawdzić dział: „pracownicy poszukiwani", by przekonać się o większym popycie niż podaży magistrów inżynierów, fizyków, socjologów, ekonomistów. Ten fakt, moim zdaniem, przemawia także za tym, by nad oficjalnym wprowadzeniem wolnych słuchaczy na I rok studiów zastanowić się i podyskutować.

Wydaje się, że gra jest warta przysłowiowej świeczki, a wolny słuchacz jako konkurent studenta na pewno będzie zachętą dla tego ostatniego, by pilniej uczyć się i nie dać się wyeliminować w przebiegach do dyplomu.

# POWRÓT z TAMTEGO ŚWIATA

Dalszy ciąg ze str. 1

ostatnio już nie przychodzą... Widocznie spowszedniało im... Dobrze, że pan odwiedził mnie, chociaż przyznaję — byłam nieco zaskoczona pana widokiem. Po tym wszystkim...

Właśnie, po tym wszystkim... Była moją uczennicą, właściwie formalnie jest nią jeszcze nadal; w szkole uchodziła za uczennicę zdolną, choć nieco dziwną, dziwną w dosłownym tego słowa znaczeniu. Zamknięta w sobie, żyjąca w oderwanym świecie marzeń, nieśmiała, a jednocześnie umiejąca się zdobyć na odruchy szczególnej szczerości — aż perwersyjnej niekiedy — sprawiała na mnie wrażenie dziewczyny spokojnej i zbytnio tylko egzaltowanej. Nic z wulkanu, nic z górskiego strumienia nawet...

Nieraz zastanawiałem się nad nią, próbując rozszyfrować ją jako człowieka. Wiedziałem o niej sporo od poprzedniej wychowawczyni; znałem — a przynajmniej tak mi się zdawało — jej warunki domowe, jej plany na przyszłość, jej stosunek do życia nawet, ale okazało się, że w jej wypadku wszystko to było za mało. Wydarzenia, które nastąpiły, wykazały mi, że istnieją nieobliczalne sytuacje i ludzie zaiste nietypowi.

Na trzy miesiące przed maturą dziewczyna zostaje wplątana w sprawę przywłaszczenia futrzanych rękawiczek. Nie przyznała się do popełnienia kradzieży, ale niestety wszystkie fakty przemawiały przeciwko niej. Próbowałem dociec przyczyn; bieda? — chyba tak, w styczniu bowiem chodziła w cienkich bawełnianych rękawiczkach, a na „mikołajki" prosiła o kupno cieplejszych w prezencie. Nie dostała, bo za ustalone 30 zł rękawic kupić nie można. Dyrekcja szkoły i wychowawca stanęli przed trudnym zagadnieniem: jak postąpić, aby nie doprowadzić do zachwiania ustalonych norm współżycia społecznego, a jednocześnie nie skrzywdzić młodego człowieka, który przecież mimo błędów może wyrosnąć na pożytecznego człowieka. Postanowiono zostawić ją w szkole, obniżając jedynie jej ocenę ze sprawowania do dostatecznego... Rozmawiałem w tej sprawie z klasą, która postanowiła traktować ją jak poprzednio... Dziewczyna tak dawniej siadała z przyjaciółką w końcowej ławce, na przerwach samotnie spacerowała po korytarzu, czasem rozmawiała z którąś z koleżanek. Trwało to chyba ponad dwa tygodnie. I oto pewnego styczniowego dnia rano cała szkoła dowiaduje się, że Janka B. rzuciła się z czwartego piętra na bruk. Konsternacja była powszechna. Dlaczego? Dlaczego to zrobiła? Siedemnastoletnia dziewczyna, o krok od matury, takich rzeczy nie robi!... nie powinna!

* ★ *

Siedzę obok niej, rozmawiam z nią i zadaję sobie to samo pytanie. Wydaje mi się niezręcznością pytać ją o to; dlatego staram się sam z urywków wypowiedzi, z intonacji głosu czy informacji uzyskanych od jej koleżanek dowiedzieć się prawdy. Zresztą, stopniowo sama pomaga mi w tym, wracając myślą do tragicznych chwil.

— Zapewne zastanawia się pan nad tym, co skłoniło mnie do tego kroku? Już tylu ludzi zadawało mi to pytanie, że przyzwyczaiłam się do tego po trosze i przestało mi to nawet sprawiać przykrość. Kiedy mówię o tych sprawach obecnie, zupełnie odnoszę wrażenie, jakbym mówiła o kimś obcym, nie o sobie. Niech mi pan wierzy, profesorze, że ciężkie życie miałam w ogóle, a ostatnio chyba najbardziej to odczułam. Szczególnie matka dopiekła mi do żywego. Pan wie przecież, że moja matka jest psychicznie chora... Ostatnio stała się niemożliwa, biła mnie, zamykała w domu, podejrzewała o stosunki z chłopcami... Te ciągłe awantury po nocach, bezpodstawne insynuacje i strach przed biciem wykończyły mnie nerwowo... Miałam dostać osobne mieszkanie z opieki społecznej, ale odmówili, bo nie pracowałam; w szkole też czułam się źle, a kiedy doszła jeszcze do tego przykra sprawa z moim chłopcem — postanowiłam odebrać sobie życie. Nic mnie z nim nie wiązało. Nawet ojciec, w którym dawniej zawsze znajdowałam oparcie i pomoc, ostatnio przestał mnie bronić. Widać bał się mamy. Dziś, kiedy przypomnę sobie ten dzień, pamiętam tylko, że uparcie prześladowała mnie myśl o bezsensie istnienia, a jakaś wewnętrzna siła pchała mnie do skończenia ze sobą. Naprawdę, nawet nie umiem w tej chwili uzmysłowić sobie momentu, kiedy znalazłam się na balkonie ani jak skoczyłam w dół...

— Moja droga — przerwałem jej — pewna myśl nie daje mi od dawna spokoju w związku z tobą... Ale proszę cię, odpowiedz mi szczerze. Czy czasem ostatnie przeżycia w szkole nie wpłynęły na twoją decyzję? Czuję się przecież w pewnym stopniu odpowiedzialny za to...

— Czy przeżycia w szkole wpłynęły na moje postanowienie?... Raczej nie. To już tak jakoś wszystko razem... Ludzie, którzy rozmawiali ze mną, mówili, że miałam wielkie szczęście. Spaść z czwartego piętra i nie zabić się... Czy ja wiem, czy to szczęście? Mam pęknięte dwa kręgi, a trzeci zmiażdżony; będę chodziła w gorsecie gipsowym przez dłuższy czas... Ale najgorsze jest leżenie tutaj, zabija mnie bezczynność i nuda. A do szkoły już nie wrócę, nie chcę. Wyjadę z Łodzi do krewnych w Koszalińskie i tam zrobię maturę. Marzę o tym, aby wyrwać się z tego środowiska.

Słowa te, wypowiadane głosem cichym, beznamiętnym, toczyły się spokojnie, jak szklane kulki po stole, miały swoisty urok szczerości, ale były zimne i okrągłe... Myśl o tym, że patrzę na człowieka, który pod wpływem impulsu zdecydował się na szaleńczy czyn — odrzucenie swego jedynego życia, jak bezużytecznej pończochy; że rozmawiam z nim o sprawach przyszłości, której w jego życiorysie miało już nie być — przeraziła mnie. Za blisko chyba stanąłem śmierci.

Ze szpitala wyszedłem głęboko poruszony tragedią tego dziecka. Nie to wydaje mi się najgorsze w tej sprawie, że targnęła się na swe życie młoda dziewczyna, ale to — jak do tego życia wróci. Nigdy nie należała do natur mocnych, witalnych; jest bowiem typem psychopatycznym, skłonnym do wszelkiego rodzaju psychoz. Ale obecnie po urazie dojdzie do tego świadomość własnego kalectwa i związane z tym przewrażliwienie i kompleksy... Dobrze, jeśli w nowych warunkach zaaklimatyzuje się i odnajdzie ludzi serdecznych i bliskich — ale jeśli zostanie skazana na samotność i walkę z nieprzyjaznym losem? To co wtedy? Powtórny skok?...

Okazuje się, że w naszym społeczeństwie dużo jest jeszcze takich sytuacji, które bolą. Są niestety dzieci skazane na udrękę życia z niegodnymi tego miana rodzicami, są kobiety prześladowane przez mężów za to, że zechciały z nimi dzielić życie; są starcy, traktowani przez dzieci, jak przysłowiowe zło konieczne... Prawda, że istnieją instytucje powołane do opieki nad ludźmi niedołężnymi czy potrzebującymi pomocy, ale powiedzmy sobie szczerze — w praktyce skuteczność działania tych instytucji jest często niedostateczna i zbyt wiele jeszcze dzieje się zła, na które, jak się okazuje, nie ma rady.

Przykład choćby tej dziewczyny świadczy wymownie o tym. Dom nie był dla niej domem... Zresztą podobną tragedię przeżywa młodszy jej brat. Społeczeństwo już od dawna winno zapewnić obojgu miejsce w domu dziecka, a wtedy na pewno nie doszłoby do tak tragicznego końca.

**JULIAN RADWAŃSKI**

## LIST z powiatu

**MÓJ DROGI!** W swoim ostatnim liście zadałeś mi naprawdę nie tyle trudne, ile zasadnicze pytania. Domyślam się, że chodziło ci raczej o perspektywy mojej egzystencji w N. niż sam fakt trwania w tym miejscu. Te kilka lat przekonały cię chyba dostatecznie, że nie był to tylko rekonesans.

Nie wiem czy pamiętasz ten wieczór, kiedy ci powiedziałem o mojej decyzji wyjazdu z Miasta. Bo mnie utkwił w pamięci ten moment, kiedy wybuchłeś hałaśliwym śmiechem a potem zacząłeś sypać jak z rękawa przykładami licznych rejterad z prowincji naszych wspólnych znajomych. Mówiłeś to na pewno bez żadnych intencji zastraszenia mnie. Trzymaliśmy się przecież razem dostatecznie długo, abyś się przekonał, że jest to niemożliwe.

Dlatego i teraz, kiedy mi zadałeś to pytanie: i co dalej? staram się je rozumieć, niejednoznacznie, chociaż nie chciałbym żeby to były pytania zadawane samemu sobie. Czy jestem zmęczony? Czy dostrzegłeś w moich listach oznaki jakiegoś zniechęcenia? Czego wypatrywałeś w mojej twarzy podczas nielicznych naszych spotkań?

Właśnie nielicznych. Przyznam się, że wpadam do naszego Miasta z coraz większą niechęcią. Trudno mi się bowiem pogodzić z Waszym przekonaniem, że jestem człowiekiem w jakiś sposób pokrzywdzonym przez los,

że mój wybór nie był żadnym wyborem tylko jednym wyjściem, ucieczką...

Nie, nie chcę przy okazji wygłaszać pochwały prowincji, ale nie mogę pohamować w sobie rozdrażnienia, kiedy współczujecie mi z powodu tej izolacji od świata, który utożsamiacie z teatrem, kinem, kawiarnią, meczem pierwszoligowych drużyn. I nudą, dodałbym. Waszą wielkomiejską, ponurą nudą, której rzeczywiście nie raz mi brakuje.

Ale rzecz nie w licytacji, pokazywaniu stron jednego i drugiego medalu. Jedno jest dla mnie pewne: nic z tego co w naszym kraju ważne nie omija nas w N. Jesteśmy, powiedziałbym nawet, w środku przemian jakie zachodzą w naszej wsi. Oczywiście, to wymiar powiatowy. A więc rolnictwo: mechanizacja, chemizacja, inwestycje, oświata. Za tymi słowami kryje się rewolucja i w tej gałęzi gospodarki narodowej, i w ludziach, którzy są z nią związani. A nawet ta, sama w sobie wielka rzecz, nie określa sztywno naszej „specjalizacji". Bo obok kłopotu z eksportem ziemniaków, widzimy już w roku przyszłym rozpoczęcie przeszło 600-milionowej inwestycji, z jaka przychodzi do nas przemysł ciężki w ramach modnej ostatnio deaglomeracji. A więc dzięki tej „modzie" nasze N. ma szanse stać się miastem, co już powinno być terminem z pokryciem.

Wybacz, mój drogi, ogólnikowość tego listu i jego przyciężkawą refleksyjność. W następnych znów będę rzeczowy, przyrzekam.

**TWÓJ JEŻ**

*Ludzie i miasto*

# KŁOPOTY z WŁASNOŚCIĄ

**WOJCIECH ADAMIECKI**

**Na co dzień potykamy się na wykopkach, kliniemy na zbyt wąskie chodniki, lub jezdnie, dopytujemy się o mieszkanie w blokach, zmęczeni widokiem starych ścian wypatrujemy chętnie murów nowych osiedli, patrzymy jak przesadza się drzewa i w ten sposób my mieszkańcy-widzowie uczestniczymy w przebudowie miasta.**

Łatwo powiedzieć: PRZEBUDOWA. Znane jest powiedzenie architektów, że najlepiej byłoby całą Łódź zburzyć i postawić na nowo. Każdy mieszkaniec Łodzi wie na ile uzasadniona jest przewrotność tego pragnienia. Rzeczywistość każe jednak przebudowywać miasto istniejące, stare, ciasne i... półprywatne. Taki jest kategoryczny nakaz współczesności i społeczna potrzeba tego wielkiego zbiorowiska ludzi.

Półprywatne miasto? Niewiarygodne a jednak prawdziwe. Wiadomo, że przemysłowo-handlowi właściciele Łodzi w 1945 r. stali się przeszłością historyczną, zostały jednak domy, domki, działki, place i ogródki rozrzucone po wszystkich dzielnicach, po przedmieściach i śródmieściu, kupione po wojnie lub od pokoleń będące prywatną własnością, drewniane rudery i ładne wille, potworne kamienice i barakowe warsztaciki.

Wielka własność została w Łodzi znacjonalizowana w pierwszym roku wolności. Ten proces przejmowania i zagospodarowywania fabrykanckiej własności trwał niemal 4 lata. Do tego momentu domek warsztacik lub nabyta tuż po wojnie czynszówka — były bezpieczne. Z chwilą jednak, gdy zapadły decyzje mówiące, że Łódź nie może pozostać w swym starym kształcie, zmiażdżona ciasnotą, cuchnąca rynsztokami i niszczącą ludzkie zdrowie — skończył się okres stabilizacji starej postaci miasta.

W ten sposób rozpoczął się konflikt między interesem społecznym i prywatnym, obfitujący w małe i duże dramaty, a kilka spostrzeżeń na ten temat na pewno dotyczy współczesnych dziejów polskiego Manchesteru.

Konflikt ten w najmniejszej skali rozgrywa się w przyulicznym ogródku, gdzie postanowiono wkopać nowy niezbędny na przebudowywanej ulicy słup trakcyjny; atoli obok robotników z łopatami zasiada na składanym stołeczku starsza pani, do której należy ogródek i powiada nie, nie ruszy się stąd za żadną cenę. W większej zaś skali konflikt ten przybrał postać sporów sądowych, w których, w miarę lat coraz zgodniej z zasadami praworządności, realizowano niezbędną przecież w takich przypadkach zasadę tzw. administracyjnego przymusu.

W celu zbadania jego aktualnych rozmiarów dziennikarz odwiedził Oddział Wywłaszczeń Rady Narodowej miasta Łodzi. Kilku pracowników powitało wysłannika opinii publicznej przychylnie i o swoich interesantach mówiło bez goryczy. Ludzie ci świadomi są jednak faktu, iż spełniają rolę bicza bożego, i nie są nadmiernie lubiani przez petentów.

W 1964 r. oddział ten przeprowadził 250 wywłaszczeń, a w ciągu 17 lat swego istnienia zajmował się ok. 10 tysiącami tego rodzaju spraw. Wyjaśnić jednak trzeba, że nie są to wszystkie wywłaszczenia w tym czasie na terenie Łodzi, a tylko te, które przeszły przez ów oddział, czyli sprawy sporne, w których interwencja administracji i sądu okazywała się niezbędna.

Jak dochodzi do tego rodzaju wywłaszczeń?

Oto przedsiębiorstwo X posiada swój plan inwestycji. Władze miejskie muszą dać tzw. lokalizację na budowanie. Następnie przygotowuje się dokumentację geodezyjną i prawną. Należy ustalić osobę właściciela działki, domu, ogrodu itp. na terenie przeznaczonym pod budownictwo. Teraz przedsiębiorstwo komunikuje właścicielowi: chcemy ten teren odkupić. Jeżeli właściciel wyraża zgodę na sprzedaż, całą sprawę załatwia się u notariusza. Natomiast jeżeli właściciel nie zgadza się i stawia opór, wówczas sprawa trafia do oddziału wywłaszczeń. Ten zaś, jeśli nie ma dodatkowych przeszkód, w imieniu PRL załatwia całą sprawę średnio w ciągu dwóch miesięcy.

Pracownicy oddziału podkreślają:

— Obecnie każda taka sprawa toczy się absolutnie praworządnie. A na ogół są to rzeczy skomplikowane. Trzeba brać pod uwagę prawo spadkowe, rzeczowe, dokumentację hipoteczną. Potrzebne są do tego całe lata praktyki. Każda bowiem sprawa jest inna. I ani razu przy wywłaszczaniu nie korzystaliśmy z pomocy milicjantów.

A w przepisach dawnych z 1948 r. i 49 r. ceny odszkodowań były tak niskie, zasada decydowania o tych wywłaszczeniach na szczeblu centralnym tak absurdalna, i prawa obu stron tak określone, że powstawało aż nadto przyczyn do niezadowolenia. Obecnie działalność ta opiera się na ustawie z 1958 r., która przede wszystkim określiła korzystniejsze dla właścicieli ceny, sformułowała zasady dawania obiektów zamiennych, zagwarantowała otrzymywanie mieszkań, dała przywileje warsztatom rzemieślniczym i gospodarstwom ogrodniczym, które nie mogą znikać z powodu wywłaszczania. Praktyka udowodniła niezbędność tej racjonalnej reformy. A według art. 6 tej ustawy nie wolno wywłaszczać jeżeli przedtem nie przeprowadzono dobrowolnych pertraktacji.

Oczywiście w dziesiątkach konkretnych przypadków ma się do czynienia z najróżniejszymi życiowymi realiami.

S. z oddziału wywłaszczeń powiada, że przede wszystkim obowiązuje zachowanie spokoju. Ma się przecież do czynienia z żywiołem wszelkich emocji, bardzo ludzkich i bardzo usprawiedliwionych, nie tylko z przywiązaniem do posiadania, ale po prostu do miejsca, do którego się przyzwyczaiło:

...zabieracie mi domek, gdzie każdą cegłę na własnych plecach przynosiłem...

...panie, ja się tu urodziłem siedemdziesiąt lat temu, tu się wychowałem i jak mnie przeprowadzicie to ja umrę i już.

Ale są i awantury, trzaśnięcia drzwiami, „Ja wam pokażę", i inne dowody braku serdeczności spowodowane zdenerwowaniem.

Jest to przede wszystkim zdenerwowanie ludzi starszych. Oni jeszcze są przywiązani. Niektórzy z nich dziedziczą jeszcze ten mit posiadania kamienicy wyhołubiony przez łódzkiego mieszczanina. Ale już pokolenie średnie i młodsze, jak powiadają w oddziale, wolne jest od tego rodzaju emocjonalnego bagażu. W ich przeświadczeniu otrzymanie w starej Łodzi mieszkania w nowych blokach jest awansem (mowa tu o właścicielach, bo lokatorzy wyburzanych ruder czekają, wiadomo, na nowe mieszkania jak na zbawienie). Skłonni są oni do chętnego pozbywania się z karku nieruchomości. Na rozprawie sądowej pytają, czy aby na pewno dostaną mieszkanie w blokach? Co oczywiście, gorąco poświadcza sędzia, prokurator i obrońcy. I wtedy już bez droczenia się z państwem, pieniądze z odszkodowania zamieniają na komplety mebli, telewizory, pralki, samochody, śluby, chrzciny, co skutecznie mości im drogę do trochę innego modelu życia wśród 5 lub 10 tysięcy sąsiadów.

Rozważania i rozmowy towarzyszące każdej ze spraw wywłaszczeniowych są rozległe. Ludziom tłumaczy się: — To panu wolno, tego panu nie wolno, a prawa ma pan następujące. Czasami nawet mówi się, że postęp byłby zahamowany gdyby nie naruszano prawa własności, że robi się to na całym świecie. W Paryżu wyburza się również całe dzielnice.

Odpowiedź bywa i taka: — Też porównanie. Co ma Łódź do Paryża. Zresztą wyburzajcie, rozumiem, że trzeba budować nowe domy, szkoły itd., ale po co wam do tego potrzebne właśnie miejsce, gdzie stoi mój domek?

Teraz argumentacja jest o tyle łatwiejsza, że już coś w Łodzi wybudowano. Widoczny jest cel całego przedsięwzięcia: całkowicie przeobrazić to miasto. Uczynić zeń miasto ładne i zdrowe.

I taka argumentacja trafia. I to, że trafia przecież jak najlepiej świadczy o ludziach przywiązanych do pieczołowicie (praworządnie) przenoszonych przy wywłaszczaniu kuźni, piekarń, szklarni itp.

Przecież decydująca jest w tym wszystkim społeczna potrzeba: miasto musi żyć, zmieniać się, rozwijać. W tym mieście, żeby budować trzeba burzyć. Stopniowo całe ulice i dzielnice.

W najbliższym czasie Zakłady Strzelczyka będą budowały nowe osiedle. Trzeba będzie wywłaszczyć 150 nieruchomości. I uczyni się to z całym szacunkiem dla mimowolnie spowodowanych dramatów dużych i małych, które mogą stać się tematem współczesnego filmu, ale nie mogą hamować tego co musi się zmieniać.

*Za kulisami II wojny światowej*

# Tajna misja profesora Frey'a

**W październiku 1934 roku, na zlecenie Niemieckiego Związku Historyków Sztuki i Niemieckiej Akademii Sztuki w Monachium przybyła do Polski, w „celach poznawczych", grupa naukowców niemieckich: prof. Dagobert Frey z instytutu historii sztuki w ówczesnym „Breslau", dyrektor tegoż instytutu — Grundman oraz historyk Gerhard Sapok.**

Polscy uczeni uczynili zadość życzeniu niemieckich specjalistów, którzy pragnęli nie tylko poznać znane muzea i ośrodki kultury polskiej, lecz również obejrzeć dzieła sztuki i zabytki przeszłości kraju — zamki, kościoły, klasztory itp. W województwach — warszawskim, łódzkim, kieleckim i krakowskim dyrektorzy i kustosze muzeów uprzejmie witali i oprowadzali niemieckich kolegów.

W lecie 1938 roku profesor Frey znów przyjechał do Warszawy, tym razem jedynie w towarzystwie doktora Sapoka. W czasie wizyty, goście z Niemiec zwiedzili wschodnie rejony ówczesnej Polski, następnie byli w Poznaniu i Toruniu, a wreszcie w Grodnie, Wilnie i Białymstoku. Przy pożegnaniu prof. Frey'owi wręczono fotokopie cenniejszych eksponatów.

Minął rok i oto prof. Frey po raz trzeci przyjechał do Polski. Tym razem polscy uczeni najchętniej zamknęliby przed „niemieckimi kolegami" wrota Muzeum Narodowego. Niestety, nie było to w ich mocy: faszystowskie Niemcy okupowały Polskę. Niemieccy znawcy sztuki nie zapewniali już Polaków o „swojej przyjaźni", nie wygłaszali mów o „wymianie doświadczeń i współpracy kulturalnej".

Mając fotokopie licznych dzieł sztuki oraz uprzednio sporządzony spis, zażądali wydania im wszystkich wymienionych w nim przedmiotów sztuki. Było to początkiem nieznanej w historii, bezprzykładnej grabieży kulturalnych bogactw polskiego narodu.

W archiwach ministerstwa sprawiedliwości PRL spoczywają teki z dokumentami, na których widnieje napis: „Tajne akta dowództwa niemieckiego". Niektóre z tych dokumentów świadczą, iż Dagobert Frey, jak również inni niemieccy znawcy sztuki, jeszcze na długo przed wybuchem wojny otrzymali następujące zadanie: dokładnie określić, jakie cenne dzieła sztuki znajdują się w polskich muzeach oraz jakie spośród nich bezwarunkowo konfiskować i, zaraz po okupowaniu Polski, wysyłać do Niemiec.

Po zakończeniu wojny profesor Stanisław Lorentz opublikował szereg artykułów, w których napiętnował dwulicowość prof. Dagoberta Freya i nikczemność jego kolegów — szpiegów.

*„W październiku 1939 roku spotkaliśmy się znów — pisze profesor Lorentz. Frey zjawił się w warszawskim Muzeum Narodowym w towarzystwie gestapowców i swego austriackiego kolegi doktora Mulmana. Celem ich przybycia było skonfiskowanie i wysłanie do Niemiec cenniejszych dzieł sztuki. Doskonale sobie przypominam, jak Frey, trzymając w ręku sporządzone uprzednio spisy, śledził szczególnie uważnie, żeby zapakowano wszystkie prace wybitnego włoskiego mistrza XVIII wieku Bernarda Belotto, nazywanego także Canaletto. Wszędzie myszkował, węszył, co by jeszcze wysłać do Niemiec!"*

W tym samym czasie, kiedy Frey „operował" w Warszawskim Muzeum Narodowym, w całym kraju dokonywano masowych grabieży dzieł sztuki. W „sprawnym przebiegu całej akcji" byli osobiście zainteresowani — Hitler i Goering. Na norymberskim procesie przestępców wojennych Goering bezczelnie oświadczył:

— **Zamierzałem stworzyć w moim własnym zamku w Karinhalle, w północnych Niemczech, niepowtarzalne muzeum arcydzieł sztuki."**

Wyznaczeni przez różnych führerów pełnomocnicy oraz sonderkommando grabili na prawo i na lewo.

W Krakowie, jak wiadomo, znajdował się bardzo cenny zbiór dzieł sztuki, znany pod nazwą Muzeum Czartoryskich. Były tam płótna Leonarda da Vinci, Rafaela, Rembrandta, Diericka Bouts'a inne, a wśród nich perła całego zbioru, obraz Leonarda da Vinci — „Dama z gronostajem". Podczas drugiej „wizyty" w Polsce prof. Frey zwiedził m. in. Muzeum Czartoryskich i zachwycał się „Damą z gronostajem". — Gospodarzom nie przyszło nawet do głowy, że Frey już wtedy zaliczył płótno, do dzieł sztuki, podlegających wywozowi z Polski. Polscy uczeni nie przypuszczali też, że po zakończeniu drugiej wojny światowej „Dama z gronostajem" zostanie odkryta aż w Bawarii, w bajecznie urządzonej willi kata narodu polskiego, generalnego gubernatora Hansa Franka.

Po napadzie Niemiec hitlerowskich na Polskę, krakowscy uczeni postarali się o ukrycie ołtarza Wita Stwosza w bezpiecznym miejscu. Ołtarz zdemontowano, a ogromne, ciężkie płyty rozebrano na części i troskliwie opakowano. 23 września 1939 roku ten drogocenny ładunek przetransportowano do Sandomierza i ukryto w podziemiach katedry. Jednakże Dagobert Frey podczas „wizyty przyjaźni" w Polsce otrzymał, niestety, m. in. i fotokopię ołtarza. A w spisie drogocennych dzieł sztuki, podlegających konfiskacie i wywozowi do Niemiec — ołtarz Wita Stwosza figurował na pierwszym miejscu.

Jeszcze przed rozpoczęciem wojny z Polską, untersturm-führer SS doktor Paulsen otrzymał rozkaz od szefa gestapo i SD gruppenführera SS Heindricha: Sprowadzić do Niemiec ołtarz Wita Stwosza. Po okupowaniu Polski, ów doktor Paulsen przybył do Krakowa, jednakże cokolwiek za późno: ołtarz znikł. Doktor z SS wpadł we wściekłość. Mając do dyspozycji nieograniczone możliwości zabrał się do szukania arcydzieła, które udało mu się wreszcie odnaleźć, zresztą przy pomocy zdrajców.

Paulsen niezwłocznie przyjechał do Sandomierza, kazał wydobyć skrzynie z podziemi katedry (waga niektórej dochodziła do 800 kilogramów) i wysłać do Niemiec. Masywne paki z fragmentami ołtarza złożono początkowo w podziemnych schronach berlińskiego Reichsbanku. Problem, gdzie ustawić zmontowany ołtarz wywołał burzę dyskusji w środowisku niemieckich „kulturoznawców".

Jeden z nich, Passe, oświadczył np., że to cenne dzieło sztuki powinno upiększyć muzeum führera w Linzu.

— Przecież Stwosz pochodzi z Norymbergi — dowodzili inny wysocy dygnitarze nazistowscy — a Norymberga to miasto zjazdów naszej partii. Dlatego ołtarz należy ustawić w katedrze norymberskiej... itd. itd.

Gorące spory zakończono w maju 1940 roku, przewieziono zdemontowany ołtarz do Norymbergi i ukryto w bunkrze. W jakiś czas potem alianci rozpoczęli silne bombardowanie Norymbergi, więc część skrzyń przewieziono do innych miast niemieckich. Nie można było zebrać w jakimś jednym mieście wszystkich elementów tego ogromnego ołtarza. Warunki wojennego transportu mogły spowodować w każdej chwili częściowe lub całkowite zniszczenie tego bezcennego dzieła. Tak więc do końca wojny ołtarz nie został zmontowany.

Dopiero w maju 1946 roku, w wyniku trudnych poszukiwań odnaleziono poszczególne skrzynie z dwoma tysiącami fragmentów ołtarza i zwieziono je w jedno miejsce. Polscy konserwatorzy mogli wreszcie przystąpić do odtworzenia detali, uszkodzonych w czasie licznych przewozów. Prace te trwały 11 lat i dopiero dnia 15 września 1957 roku, a więc po upływie 18 lat od chwili zagrabienia go z Polski, ołtarz Wita Stwosza stanął na dawnym miejscu, w kościele Mariackim.

(S)

Leonardo da Vinci — „Dama z gronostajem".

# NAT KING COLE

Tego wieczoru w lokalu Swanee Inn w Los Angeles było jak zwykle głośno i tłoczno. W głębi grało trzech spoconych Murzynów, a pianista robił wszystko, aby można było słyszeć dźwięki fortepianu. Kiedy jednak pijak zaczął wrzeszczeć, wszyscy umilkli. Mierząc palcem w pierś pianisty pijak chrypiał:

— „Śpiewaj! Chcę słyszeć twój głos".

— „Przykro mi, ale nie umiem śpiewać" — z opanowaniem odpowiedział tamten. Skandując słowa pijak nie ustępował:

— „Rozkazuję ci śpiewać"!

Sala zamarła w oczekiwaniu. Do pianisty przyskoczył właściciel lokalu,

— „Błagam cię śpiewaj! On każdego wieczoru zostawia tu trzy dolary. Rozumiesz".

Pianista zaśpiewał. Głos miał nieco ochrypły, ale miękki, aksamitny, jakby łkaniem kończący każdą frazę — „Sweet Lorraine". — Ludzie wsłuchani zastygli w bezruchu.

Tak z kaprysu pijaka, w jesienny wieczór 1937 r. narodził się wielki pieśniarz Nat King Cole.

W murzyńskiej dzielnicy Chicago chłopiec imieniem Nat grał na rozbitym fortepianie. Zaczął od melodii lekkich, a potem grał wszystko od Bacha do Rachmaninowa. Zaproponowano mu, aby za 1,50 dol. grał w barze studentów. Propozycję przyjął mimo że ojciec wyrzucił go z domu. Od tej chwili wszystkie lokale Kalifornii stanęły przed chłopcem otworem. Grał w każdym barze, w każdej spelunce od San Diego, aż po Baskerfield.

Publiczności jednak znudziły się prędko pełne smutku melodie i czarne twarze artystów. Wróciły dni głodu, nędzy i zwątpienia.

Upłynęło wiele czasu zanim Nat znalazł pracę w lokalu, gdzie uparty pijak odkrył w nim genialnego Króla Cole! A potem sukces, zwycięstwo murzyńskiego zespołu rewiowego „Shufle Along". Zainteresował się Natem wydawca nagrań wielki Gene Wallachs. Niebawem sprzedane zostało pół miliona nagrań Nata Cole.

I stał się bogaty. Pieniądze znaczyły sukces, spokój, wolność! O tym wszystkim marzył przez długie lata. Chciał aby Harlem długo pamiętał jego ślub z Marią Ellington wydał przyjęcie za sumę 20.000 dolarów. Ale pozostał smutny.

— „Nat, mówiła Maria Ellington, to najsmutniejszy człowiek na świecie. Trzeba być przy nim, ale nie pytać co go gnębi".

Nat kupił dla żony i syna stylowy angielski dom w Hancock Park.

— „Uciekaj stąd brudny Murzynie. Nie chcemy w sąsiedztwie nieproszonego Mister Cole" — takie ulotki znalazł nazajutrz na progu mieszkania.

W Peoria i Indianopolis odmówiono mu pokoju w hotelu. Wszystkim przeszkadzał kolor jego skóry. W Birmingham i Alabamie sześciu drabów obiło go na oczach publiczności, która przed chwilą burzą oklasków przyjęła jego występ.

— „Stworzyłeś własny styl i dostroiłeś do niego swój głos" — mówił Bill Eckstine. Kiedy stanął przed kamerami telewizyjnymi — pierwszy z Murzynów — Lena Horne, Harry Belafonte, Dorothy Dandridge Sammy Davies, mówili:

— „Jeżeli odniesiesz sukces, to i dla nas droga otwarta".

Ludzie szaleli z zachwytu, ale po 65 występach program zawieszono z obawy przed bojkotem Południa.

W tym smutnym okresie spotkała Nata radość. Któregoś dnia na jego występ przybył ojciec w towarzystwie takich jak on sam wystraszonych, czarnych ludzi. Nat wiedział, ojciec przyszedł, aby mu wybaczyć.

Dnie i noce spędzone w zadymionych lokalach nie mogły pozostać bez wpływu na zdrowie Nata Raz, kiedy śpiewał w Carnegie Hall, a publiczność szalała z zachwytu, upadł zemdlony.

— „Wrzód żołądka i całkowite wyczerpanie" — taka była diagnoza lekarska.

Historia Nata dobiegała końca.

Bilans jego życia — to 50 milionów nagrań i niespełnione marzenie o Południu, które nie chciało jego pieśni.

**oprac. MARIA TYMOWSKA**

WESTERN

EASTERN

(Z satyry czeskiej)

STANISŁAW CZERNIK

# Z notatnika AUTENTYSTY

## Mizerykordia

(notatka z muzeum)

Mizerykordia. Jaki piękny wyraz. Tyle w nim wzniosłości: litość, miłosierdzie. I tyle okrucieństwa w wąskiej klindze, bardziej morderczej od innych podobnych narzędzi mordu. Symbol człowieczeństwa? Może tylko barbarzyńskich czasów uwznioślanego rycerstwa. Czy lepiej czy gorzej, że w symbolu wzniosłość była córką okrucieństwa, a litość dzieckiem zbrodni?

Mizerykordia. Piękny i straszny przedmiot muzealny. Dziś wynaleziono wielekroć straszniejsze instrumenty zabijania. Nie potrafiono wynaleźć współczesnego odpowiednika mizerykordii. Musiałby być równie masowy i okrutny jak mord. Czy byłaby w nim choć odrobina wzniosłości, tej która wynikała z litości i miłosierdzia, uczuć ludzkich znanych niekiedy nawet zawodowym mordercom? Raczej nie. Na pewno nie.

Czy taka prawda? I czy to naprawdę prawda?

## Zapiska wiosenna

„Jadę rano pociągiem z Łodzi do Warszawy".

Początek wiersza-śpiewu, a zatem najnaturalniejszej poezji. Początek, pierwsza cząsteczka, która nie będzie mieć określonego „dalszego ciągu", jako że od lat rozpływa się w odmiennych wersjach, w różnych odmianach nie zapisywanego tekstu, jak pieśń ludowa. Tylko początek ten sam, od piętnastu lat, w czasie każdej wiosennej podróży. „Każdej wiosennej" — oto właściwość tego „utworu".

„Jadę rano pociągiem z Łodzi do Warszawy". I różne strofy przygarnia ten wers. Raz łączy się z wonią ziemi i tak pachnie mi przez całą drogę. Ujrzałem kiedyś rolnika, jak siał staroświeckim sposobem — ręką, z płachty. Jak mój ojciec. Odżył w pamięci, stał się prawie żywym wierszem-śpiewem, towarzyszył mi aż do Warszawy, a wieczorem powracał ze mną tym samym pociągiem. To znowu — innym razem miałem rzecz o sadzeniu ziemniaków „natchnioną" przez odpowiedni widok z okna.

I dziś tak samo „jadę rano pociągiem z Łodzi do Warszawy". Towarzyszy mi wiersz-śpiew, pochwała krajobrazu, tego „skromnego" krajobrazu Mazowsza, który dziś wydał mi się „nieskromny" w wiosennej urodzie ziemi i nieba, zieleni i kwiatów, aż nadto piękny.

## Mój egzystencjalizm

Wybieram. Tak jak wybierałem dotychczas, nim ty się zjawileś, Filozofie. Bez rozeznania, czy egzystencja poprzedza essencję, czy na odwrót. Jak najswobodniej dokonuję i dokonywałem wyboru samego siebie w moim świecie.

Samego siebie? Tak, ale poprzez „Niego", jego wybierając, otrzymuję właśnie siebie.

Wybieram i wybierałem. Jego wybierałem, który nie umiał czytać i pisać. Na wsi głębokiej, na prowincji najdalszej. Jego wybierałem na amatorską scenkę — sam niedołężny reżyser — jego uczyłem, jak ma grać Marcina Łubę, a nawet Kirkora. Na wsi głębokiej, na prowincji najdalszej. Jego wybierając dokonywałem wolności wyboru samego siebie w moim świecie.

Wybieram i wybierałem. Jego, ją, ciebie, młodzieńczy poeto. Przywoływałem, szukałem, odnajdywałem. Chociaż sam niedoświadczony i słaby, w mieścinie prowincjonalnej, gdzie diabeł mówił dobranoc. Jego, ją, ciebie wybierałem w zwątpieniu, czy nie błądzę z daleka od stolic i wielkich miast.

I odtąd ciągle „ich" wybierając, bez rozeznania czy egzystencja poprzedza essencję, czy na odwrót, dokonuję wolności wyboru samego siebie w moim świecie.

*Z cyklu „Drzewa"* *Fot. A. Idziński*

BOGUSŁAW SIKORSKI

# MINIATURY

★ ★ ★

Wysoki Sądzie, czekam na wyrok. Szanuję ustawy, szanuję senat. Wysoki Sądzie, łysy architekt czeka na wyrok. W tym mieście, które sam budowałem. W tym mieście wszyscy ludzie, którzy mają łyse głowy muszą opuścić miasto. Ale ja, łysy architekt zbudowałem to miasto. Ja znam jego ulice, jego domy. Jeśli ja opuszczę miasto, to miasto umrze. W tym mieście, tylko łysy architekt wie, jak zatrzymać żywioł rzeki. Tylko łysy architekt wie dlaczego budował takie mosty. Ale w tym mieście dzisiaj rządzi senat. Wysoki Sąd jutro wyda wyrok. Każdy łysy opuści miasto. A łysy architekt też miał kiedyś piękne włosy. Miał piękne włosy, kiedy odkrył tę rzekę, ten szalony żywioł wśród pustych skalistych gór. Ptaki wtedy skrzeczały na widok człowieka. Skały broniły się przed fundamentami. To właśnie ja wyłysiałem tu. Na każdej ulicy zgubiłem dwa włosy. Ja mam opuścić to miasto. Kiedy nie powiedziałem wam jeszcze wszystkiego. A właśnie chciałem wam to przekazać, kiedy będę stary, kiedy będę łysy. Chciałem wam powiedzieć, że w tym mieście jest rzeka, która potrafi zaskoczyć swoim wylewem. Tylko ja wiem jak wykorzystać te dziwne konstrukcje, które zbu wałem na mostach. Chciałem wam przekazać kiedy będę łysy. Wysoki wydał już wyrok. Szanuję ustawy, nuję senat mojego miasta.

Sąd drży. Żywioł żywioł żywioł woda woda woda. Architekt uratować miasto, ale nie jest obywate tego miasta. Szanuję ustawy, szanuję nat, szanuję wyrok. Już w mieście nie senatu nie ma ustaw nie ma wyroków. sy człowiek na skalistym gruncie ptaki skrzeczały na jego widok, po decyzję. Tu wybuduję miasto. Jest architekt.

## Sen

**Akt pierwszy.** Wstąp na chwilę rozdzieram szaty, po mistrzowsku pr oczami. Tu godzina z piekła rodem. rodzima. Twoja. Moja. Nasza. Chi. Śmiech słyszycie. Miękkość zgięcia języku ognia lub ogona. Wstąp na ch lę ktoś tu umarł, ktoś urodził po trzowsku. Tu odbieram dzieci, s szmaty, młode dziewczyny. Wszy spotkasz. Od wygiętych szyj płynie cze krew. Od ciał starców jeszcze c łych drganie jest powietrza. Tu p chylność ludzkim zmysłom. Czas gwa obmyślanie zbrodni. Sznury na głow pewnie założone i nie plamią białych szul i nie wyrwą włosów twoich. dzy ziemią a gałęzią jest królestwo je. Jeśli liny twarde mój koń choć s szony nie odskoczy. Wstąp na chwilę. uprzęży czy na linie.

**Akt drugi.** Wstąp na chwilę. oczyszczam szaty organistów stare fr Tu kwiat pachnie rano i wieczor I każdemu dług oddaję. Tu rozpozn ręce moje.

Twoje oko brzuchem grzeszy. Zgub tutaj owłosienie. Zgubisz złych kap nów. Kobiet brzuchy żebrem opląta zamkniesz w skrzynię wieczną. Pleśń rosła w ziemi tu nie rośnie. Twoje c jest balsamowane. Dzieci co ochrz i w pielgrzymce co je stratowały cz tu spotkasz szczęśliwe. Władców gr nych i zrudziałych, co sami wiążą tu łańcuchy. Wstąp na chwilę, na mój gnał, palcem dany.

**Akt trzeci.** Wstąp na chwilę tu czyste szaty. Skrzydła białe jak namio W każdym szczęście. Tu kobiety tw ziemskie, wiecznie czyste. Słyszysz s lest ciał pięknych kobiet. Tu jest ci wiatr jak chcesz to zawieje, a jak ch to ucichnie. Włosy sam wybierzesz, ak mitne, lub anielskie. Jakie chcesz. C kam ciebie. Dam ci klucze. Wstąp chwilę.

**Akt czwarty.** Zerwałem się jak sza niec. Była już późna godzina. W luste gęba moja nie ogolona jak dziki las w glądała, czy zdążę na spotkanie do mo dziewczyny mam jeszcze pięć mi czasu.

# Nad czym pracują pisarze

## WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Nie minął jeszcze rok od wydania mojej ostatniej powieści „Konferencja u mecenasa" i nie wiem; kiedy będę mógł wydać nowy tom prozy; pracuję nad nim, lecz terminu nawet w przybliżeniu określić nie mogę. Na razie ukaże się drugie wydanie powieści historycznej z 1863 r. „Trzystu pod Dobrą". Zapewne w maju br. Książka ta napsuła trochę krwi „brązownikom", których nie brak w naszym kraju i którzy chcieliby utrzymać fałszywy nimb dokoła postaci historycznej, ponoszącej winę za przegraną bitwę pod Dobrą, bitwę, która prowadzona w dobrych dla powstańców warunkach topograficznych była — według znawców spraw wojskowych — do wygrania. Pewne wydawnictwo zagraniczne wystąpiło z projektem ewentualnego przetłumaczenia „Konferencji u mecenasa" na język obcy, ale czy ten projekt zostanie zrealizowany, jeszcze nie wiem. To byłoby chyba wszystko. Sądzę, że nie należy za wiele projektować; przynajmniej — publicznie, tym bardziej że w dziedzinie pracy twórczej zapowiedź kończy się przeważnie na dobrych chęciach.

## WALDEMAR BABINICZ

W latach pięćdziesiątych prawie codziennie jeździłem pociągiem do Kielc. Stosunkowo krótka trasa: Sędziszów — Kielce. Tam i z powrotem. Ci sami ludzie, to samo, jak mawiał ówczesny mój przyjaciel — konduktor, coupe. Od tego czasu datują się moje zażyłe stosunki z kolejarzami i ich dziećmi. Trzy godziny — tyle właśnie potrzeba, aby przeprowadzić reedukację pokolenia, przyspieszyć proces modernizacji kolei, przebudować wieś, zbliżyć ją do miasta, wprowadzić nowe obyczaje do naszych stosunków towarzyskich. Robiliśmy to wszystko codziennie z niesłabnącym zapałem, nie opuszczając coupe. Stąd powstała książka „Rówieśnicy", która w najbliższych tygodniach ukaże się na półkach księgarskich. W planie na ten rok są i inne pozycje. Powieść o jednej rodzinie na tle panoramy miasta Bierzmowa. Dwa pokolenia inteligenckie. Dwa światy, dość odległe od życia większości mieszkańców.

Jeśli plany produkcyjne nie zawiodą, ukaże się jeszcze być może w trzecim kwartale zbiór opowiadań — plon konkursu na wspomnienia z pierwszych lat powojennych. Inny zbiorek — to opowiadania z życia młodzieży wiejskiej, jej małych dramatów wynikłych z radykalnych przemian cywilizacyjnych.

Tak więc rok zapowiada się bardzo interesująco. Po prostu lokalne, indywidualne lato stulecia.

Ciągle jednak daleko do pełnej satysfakcji. Mieszkam dwadzieścia z górą lat w jednej gminie, w tym samym powiecie. Poznałem w ciągu tego czasu kilka tysięcy młodych, niezwykle ciekawych ludzi. Czas więc napisać p r a w d ę o tych ludziach. Na brak materiałów pasjonujących uskarżać się nie mogę. Chodzi o zorganizowanie dnia w ten sposób, aby móc codziennie poświęcić kilka godzin pracy nad tą książką, o której wszyscy bliscy, a i ja chyba sam, twierdzimy, że powinna być „książką życia".

Czego sobie i swoim łaskawym Czytelnikom, z którymi tak często korespondujemy, serdecznie życzę.

KRYSTYNA WOJTASIK

# Arcydramat narodowy

**Jak już słusznie zauważył Boy, „Dziady" stawiają inscenizatora przed dwiema, istotnymi trudnościami: ile skrócić i jak skrócić. Pierwsza alternatywa uwarunkowaną jest ogromem tekstu, druga — ustosunkowaniem się reżysera do ideologii utworu, uwarunkowanym ideologią własną. Jak różnie można interpretować „Dziady" świadczą dwie epokowe inscenizacje: Wyspiańskiego (1901) i Schillera (1932/1934).**

Wyspiański, po raz pierwszy, na scenie krakowskiej, wystawiając Mickiewiczowskie „poema" w całości, uczynił z nich dzieje Gustawa-Konrada. „Bohaterem" Schillera było męczeństwo narodu i jego chęć walki o wolność, przy zaakcentowaniu mistycznych pierwiastków utworu. Wyspiański potraktował swą inscenizację realistycznie (styl dekoracji i dosłowna materializacja duchów), Schiller — wizyjnie, nastrojowo, ekspresjonistycznie i poetycko. (Słynne 3 krzyże Pronaszki — Golgota górująca nad całością przedstawienia; duchy ujawniające swą obecność jedynie głosem, plamą świetlną i akcentem muzycznym).

Jaką drogę wybrał Roman Sykała, reżyser, wspólnie z Wojciechem Natansonem, który tekst opracował dramaturgicznie, i ze scenografem Marianem Stańczakiem?

W inscenizacji Sykały nie ma ani realizmu Wyspiańskiego, ani misteryjnej nastrojowości i wizyjności Schillera (siła rzeczy nie ma też Schillerowskiego monumentalizmu ze względu na rozmiary sceny Teatru Powszechnego). Jest umowność, stwarzająca w miarę możliwości, tj. wobec różnolitości faktury poszczególnych fragmentów dzieła, jakąś tonację stylu najogólniejszą. Ta umowność, przy widocznych staraniach o zachowanie poetyckości (m. in. zaduszkowe świece płonące na zamglonym horyzoncie, pod sklepionym niebem, tworzące ramę spektaklu, tak jak i pojawienie się gromady — w finale niezgodne z tekstem, ale korzystne ze względów właśnie kompozycyjnych i widowiskowych) przejawia się najsilniej w części II, a najostrzej zaakcentowana jest w kształcie nadanym duchom. (Są one w „Dziadach" znakomitym wskaźnikiem reżyserskiej koncepcji, stanowiąc przy tym najtwardszy orzech do zgryzienia dla inscenizatora). „Duchy" części II to kukły, czy raczej ich charakterystyczne elementy, niesione na kijach przez uczestników obrzędu. Oni to, ruchem ręki wyznaczani przez Guślarza, wypowiadają, w sposób celowo prymitywny, tekst duchów. Nie ma więc na scenie zjaw z zaświata i nikt z obecnych (wbrew intencjom autora) w nie nie wierzy. Pozostaje tylko forma obrzędu, zwyczaj, tradycja mająca na celu przypomnienie zgromadzonym pewnych moralnych i społecznych prawideł. W tym ujęciu niezrozumiała staje się reakcja, czy raczej jej brak, na pojawienie się widma (?) Gustawa. Nie jest on przecież kukłą na kiju!

Koncepcja duchów — kukieł przechodzi swą następną próbę ogniową (nieudaną, niestety), kiedy pojawiają się one w Prologu (u Sykały sc. 1 aktu II), a potem towarzyszą Konradowi podczas Wielkiej Improwizacji. Omotane w sieci (tak, jak i Guślarz; dlaczego?) pałuby bez twarzy, stojąc nieruchomo, wypowiadają swoje kwestie beznamiętnie, co szczególnie boleśnie się odczuwa przy, nie docierającej wskutek tego do widza, potężnej apostrofie „Człowieku, gdybyś wiedział, jaka twoja władza..." oraz podczas walki o duszę Konrada, która w tej sytuacji właściwie nie istnieje (mam wrażenie, że raczej celowo). Kukłami bez twarzy (w sensie dosłownym) są także diabły ze Snu Senatora („podbudowane" umundurowanymi manekinami, spełniającymi rolę dworaków) oraz arystokratyczni goście (w sensie przenośnym) w Warszawskim Salonie, co już nie jest innowacją. Słynny, zainscenizowany przez Schillera rytmiczny „trzask kart", zastąpił tu zrytmizowany brzęk łyżeczek i filiżanek z herbatą (picie herbaty zgodne z autorską wskazówką) zaznaczany motywem muzycznym. Mówiąc o tej scenie należy wspomnieć, że opowiadanie Adolfa, stanowiące jej spięcie dramatyczne, spięcie z bezdusznym światem polskiej arystokracji i pseudoklasycznych literatów o sumieniach nieczułych na narodową tragedię, straciło na ostrości w wykonaniu Zbigniewa Cynkutisa.

**Wracając do duchów. Ich koncepcja (przy godnej uwagi, konsekwencji formy, ale jednocześnie zubożeniu spektaklu o efekt niesamowitości właściwej światu nierealnemu) odebrała diablom i aniołom części III (ograniczonych liczebnie) siłę i znaczenie, co rzutuje z kolei na wymowę ideologiczną spektaklu. Konsekwentne skreślenie Egzorcyzmów i tekstu duchów w Widzeniu księdza Piotra spowodowało zatarcie i pomniejszenie jego roli i postaci. Czyli — pierwiastków mistycznych. Sykała odżegnał się od mistycyzmu (słusznie), ale skaleczyło to, niestety, tkankę utworu, z którą jest silnie zrośnięty. Ostateczną konsekwencją tej postawy byłoby bezceremonialne skreślenie Widzenia ks. Piotra oraz jego proroctw na balu u Senatora, które w istniejącym kontekście tracą oparcie w samej postaci bernardyna poprzez pozbawienie jej aury potężnej siły duchowej.**

Inscenizator pamiętał jednak o tym, że Widzenie ks. Piotra, to nie tylko mistyczne proroctwo o zjawieniu się „namiestnika wolności na ziemi", lecz także, i w naszym odczuciu przede wszystkim, wołanie o tę wolność i potężna wizja cierpień narodu. W interpretacji Czesława Przybyły akcent pada jednak na proroctwo. Możliwe, że aktor poddał się tutaj rytmowi i narastającemu napięciu wiersza. Stało się to zapewne wbrew woli inscenizatora, który wyraźnie dąży do przekazania widzowi dzieła Mickiewicza, jako „dramatu narodowego".

**Najmocniejsze, najlepsze momenty spektaklu należą do scen, użyjmy tu tego nieprecyzyjnego terminu, patriotycznych. Są to sceny w więzieniu oraz dwukrotne wejście pani Rollison w „Panu Senatorze". Nowosilcow i Rollisonowa są tu godnymi siebie partnerami. Mirosław Szonert nie przerysował postaci ani w stronę groteski (kiedyś uczynił tak Zelwerowicz), ani naturalistycznej sylwetki satrapy-potwora. Wybrał jakby drogę pośrednią, przylegającą do ogólnej tonacji spektaklu. Przy dużej kulturze wykonania ten Senator jest niebezpiecznym, bo inteligentnym, - kabotynem. Przy tym kiedy chodzi lub siada, dostrzegalna jest tendencja do pewnego zautomatyzowania ruchów, kukłowatość. Pani Rollison Ireny Małkiewicz-Domańskiej jest żywym cierpieniem przeradzającym się w krzyk rozpaczy i gniewu.**

Właśnie gniew, nie cierpiętnictwo, jest zasadniczym akcentem spektaklu. Został on ostro wydobyty w scenie więziennej (powiedziano kiedyś, że Schiller urządził tutaj „sabat zemsty") poprzez pełne ekspresji podanie opowiadania Sobolewskiego (pięknie mówił Zbigniew Niewczas) oraz pieśni Jankowskiego i Feliksa (z pasją i żarem przekazane przez jednego aktora — Lucjana Wiernka, jako Jankowskiego) a także „pieśni zemsty" Konrada. Oczywistą konsekwencję w spektaklu tej sceny i jej wymowy stanowi Wielka Improwizacja. Po preludium następuje właściwy koncert.

Wielka Improwizacja w reżyserskim odczytaniu nie jest opętaniem przez szatana (znów potrącamy o sprawę duchów), ale ludzkim krzykiem buntu przeciw okrucieństwu Boga, czy świata. Nasze pokolenie, które poznało epokę pieców, ma prawo do tego krzyku. I dlatego nie było egzorcyzmów.

**Marian Gamski tak właśnie mówił Improwizację. Mówił wspaniale (mimo że mu nieco przeszkadzały duchy), wzruszająco i pozywająco. Siła uczucia, szczerość, zapał, liryzm — tak niegdyś chwalono Andrzeja Mielewskiego, „niezrównanego" Konrada, tak można tutaj określić cechy aktorskiego wykonania tej roli przez Gamskiego, rozciągając je na wewnętrzną postawę aktora. Ponadto, jego racjonalistyczne podejście do tekstu oraz staranna dykcja sprawiły, że kształt i sens Mickiewiczowskiego wiersza w pełni zostały odebrane przez widza. A więc — sukces aktora.**

I nie jego jest „winą", że w części IV sprawia raczej wrażenie obłąkanego niż nie materialnej zjawy. Koncepcja reżyserska i scenograficzna uczłowieczyły Gustawa. Aktor dorzucając własną interpretację ukazał opętanego bólem, miłością i gniewem człowieka. W ten sposób powstało jakby stadium wstępne późniejszego przeobrażenia Gustawa w Konrada. Uczucia pozostaną te same, zmieni się jedynie ich przedmiot i format.

Przyczyn i procesu przemiany „kochanka" w bojownika sprawy Ojczyzny cierpiącego za miliony i społecznika nie ukazał poeta w dramacie. Dlatego sięgamy tu do jego biografii. Przemianę tę spowodowała klęska powstania listopadowego.

**„Dziady" drezdeńskie napisał Mickiewicz w roku 1832, dzieli je więc od części wcześniejszych 9 lat. „Niespójność" obu członów oraz przedział czasowy stały się przyczyną coraz to odżywającej teorii ich oddzielnego wystawiania. Jest to oczywiste przeciwstawianie się woli autora, który wszystkie części połączył wspólnym tytułem (wagę tego faktu docenił Wyspiański) oraz sceną 9 części III, zamykającą dramat, tym samym tematycznie nawracającą do obrządku Dziadów czyli, „narodowych zaduszek". Roman Sykała stając przed dylematem: razem czy oddzielnie?, wybrał „razem" i nie tylko wybrał, ale udało mu się z fragmentarycznej kompozycji poematu wysnuć w wielu aspektach jednolitość całości.**

A poza tym Sykała w ogóle wystawił „Dziady", po 38 latach nieobecności Mickiewiczowskiego dzieła na łódzkich scenach. Po raz pierwszy w Łodzi ujrzały one światło sceny za dyrektury Zelwerowicza w r. 1908, kiedy to, po rewolucji 1905 r. „sytuacja uległa pewnej poprawie" i władze carskie, oczywiście po okrojeniu przez cenzurę, dopuściły Mickiewicza na scenę. Były to w ogóle pierwsze „Dziady" pokazane w całości, według inscenizacji Wyspiańskiego, na terenie Królestwa. Warszawa zobaczyła je dopiero w rok później... „Zelwerowicz — donosiło ówczesne czasopismo — zaszczepił płonkę wielkiej sztuki na gruncie wyjałowionym przez opary gazów fabrycznych, na rynku przetargów bawełnianych. Przedstawienie (grane 19 razy) zrobiło wielkie wrażenie na licznie zebranej publiczności". Otwierało ono drogę teatrowi romantycznemu na terenie Królestwa. Potem przyszły następne: w r. 1910 w reżyserii Andrzeja Mielewskiego, w r. 1921 — Aleksandra Węgierki. Księdza Piotra grał wówczas Józef Pilarski, Senatora — Aleksander Zelwerowicz, Rollisonowa — Wanda Siemaszkowa. Następna premiera „Dziadów" miała miejsce w r. 1923 w Teatrze Miejskim, za dyrekcji Wroczyńskiego, z Władysławem Krasnowieckim jako Gustawem-Konradem. Obsadę ostatniej, czyli z r. 1927, stanowili m. in.: Karolina Lubieńska, Irena Horecka, Konstanty Tatarkiewicz, Kazimierz Szubert. Dekoracje projektował Konstanty Mackiewicz. Dyrekcja — Bolesław Gorczyński.

Daty mają swoją wymowę. Dlatego dyr. Romanowi Sykale należy się uroczyste podziękowanie za przywrócenie miastu arcydzieła Adama Mickiewicza i tego wszystkiego, co ono ze sobą niesie.

**Teatr Powszechny: „Dziady" Adama Mickiewicza. Opracowanie dramaturgiczne — Wojciech Natanson. Inscenizacja i reżyseria — Roman Sykała, scenografia — Marian Stańczak, muzyka — Bogdan Pawłowski, choreografia — Witold Borkowski. Współpraca dramaturgiczna — Irena Bołtuć-Staszewska. Konsultacja słowa — Irena Wojutycka.**

EUGENIUSZ IWANICKI

# „OSNOWA" — witryna kultury

**Dzieje literatury na Ziemi Łódzkiej, a w szczególności środowiska literackiego Łodzi nie sposób zamknąć w ramach jednej chociażby blisko 300-stronicowej książki. Próbę pobieżnej reprezentacji Łodzi literackiej podjęło Wydawnictwo Łódzkie wydając almanach literacki „Osnowę" pod egidą Oddziału Łódzkiego ZLP.**

Pierwszy tomik tego typu ukazał się po raz pierwszy w 1963 roku i jak się okazało w pełni obronił prawo swojego istnienia. Stał się pozycją potrzebną, pozycją ogólnej informacji, witryną prozaików, krytyków i poetów. Nie tylko literaci zasłużeni dla naszej kultury kilkoma pozycjami książkowymi, lecz i zupełnie młodzi, ci którzy po raz pierwszy poczuli potrzebę podzielenia się ze społeczeństwem swoimi obserwacjami, przeżyciami bądź wątpliwościami zabrali głos na kartach tej ciekawej książki.

Almanach staje się coraz wyraźniej trybuną mocnego, impulsywnego i bardzo szerokiego strumienia płynącego wartko w ogólnopolskim nurcie literackim.

Łódź — miasto, którego symbolem stało się włókno, wydała wielu znakomitych pisarzy i poetów, aktorów i muzyków. Stąd wyszli czołowi reżyserzy i plastycy. Tu urodzili się lub mieszkali i tworzyli ludzie, którzy są chlubą naszej literatury. Wystarczy wspomnieć Juliana Tuwima, Mieczysława Jastruna, Władysława Strzemińskiego, Kazimierza Grusa, Zenobiusza Poduszko, Eryka Lipińskiego, Karola Adwentowicza, Arnolda Szyfmana, Zbigniewa Pronaszko, Irenę Eichlerównę, Kazimierza Rudzkiego itd. itd.

Te piękne tradycje kontynuują dziś ci wszyscy, którzy pozostali w tym „najbrzydszym mieście na świecie", którzy ukochali jego „brzydkie piękno", jego niepowtarzalną specyfikę i urok.

Almanach został podzielony na kilka części, które sprawiają, że poszczególne zagadnienia zostały zamknięte w odrębnych całościach. I tak na początku mamy część ogólną, w której obok wypowiedzi monograficznych zamieszczono opowiadania, wspomnienia z pierwszych lat powojennych, fragment sztuki teatralnej i wiersze. Następnie w kolejności następują: sylwetki, debiuty, satyra, przekłady, recenzje i kronika.

Cennym szczegółem „Osnowy" jest jej przekrojowość: czytelnik ma możność poznać niełatwe, skomplikowane, piękne i bogate dzieje samego miasta, jak i nierozerwalnie z tym związany jego rozwój kulturalny.

Na łamach „Osnowy 65" prezentują się m. in. Jan Huszcza, Marian Piechal, Władysław Rymkiewicz, Tadeusz Papier, Jan Czarny i Tadeusz Gicgier, J. M. Rymkiewicz, Igor Sikirycki, Mieczysław Szargan, Antoni Kasprowicz.

„Zaproszeni" zostali również goście z zagranicy w osobach: André Breton, Vicente Aleixandre Merlo, Anny Achmatowej, Georg Trakl, Vesna Parun w przekładach M. Piechala, J. M. Rymkiewicza, J. Koprowskiego, S. Pollaka i S. Kaszyńskiego.

Ciekawe recenzje, udane debiuty, zwięzłe a nie nużące zestawienia kronikarskie, czynią z tego almanachu pasjonującą lekturę.

Almanach literacki „Osnowa" jest przeznaczony nie tylko dla elitarnego kręgu inteligencji, lecz przede wszystkim dla tych, dla których sprawa kultury naszego regionu pozostaje ciągle sprawą otwartą. Jest to książka, która winna „zabłądzić pod strzechy" łódzkich kamienic oraz znaleźć poczesne miejsce na półkach bibliotek. Bowiem pisali ją ludzie, którzy dostrzegli piękno w zadymionym niebie naszego miasta i potrafili odnaleźć dźwięki muzyki w stuku przędzalnianych maszyn.

A jeżeli już koniecznie trzeba troszkę ponarzekać, to chyba jedynie na to, że tak cenna pozycja nie ukazała się w bardziej trwałej oprawie i nie została zilustrowana przez naszych grafików. Ten zewnętrzny maquillage przydałby się bez wątpienia.

**Osnowa — almanach literacki. Wyd. Wydawnictwo Łódzkie. 1964 r. Str. 296. Cena 10 zł.**

## Półka z książkami

### CHŁOPCY „BARABASZA"

Książka Marianą Sołtysiaka „Chłopcy „Barabasza" jest w zasadzie czymś pośrednim między pamiętnikiem dowódcy partyzanckiego oddziału „Wybranieckich", a niemal dokumentalną relacją z okresu dwuletnich walk toczonych na Kielecczyźnie.

„Wybranieccy" byli dziwnym oddziałem. W jego skład wchodzili przeważnie ludzie z miasta i to ludzie nieraz bardzo młodzi, w początkach istnienia oddziału średni wiek partyzantów nie przekraczał 19 lat. Zresztą, może właśnie dlatego potrafili przystosować się do tak trudnych warunków walki partyzanckiej. Ich jedynym dążeniem, niemal naczelnym zadaniem ich ówczesnego życia stała się walka. Spełniali to zadanie dobrze, o czym najwymowniej świadczy lista odniesionych zwycięstw, stoczonych walk i potyczek z hitlerowcami.

Autor nie ogranicza się bynajmniej do mniej czy więcej literackiego opisu walk. Na kanwie dnia codziennego rysuje stosunki panujące między oddziałami partyzanckimi różnych ugrupowań, zagłębia się w stosunki panujące wewnątrz Armii Krajowej, omawia przebieg odsieczy dla walczącej Warszawy.

Wiele dotąd było publikacji dotyczących walk toczonych przez partyzantów na terenie całego kraju. Stosunkowo najmniej omawiano teren Gór Świętokrzyskich, a przecież stał się on niemal przysłowiowo sławny przez nasilenie i zajadłość toczonych tam bitew. Dobrze, że jest wreszcie taka pozycja.

**ST. R.**

**Marian Sołtysiak — Chłopcy „Barabasza" — Inst. Wyd. Pax — Warszawa, 1965 — str. 212 — cena zł 22.**

### „ZAKLĘTE LATA"

Echa okupacji wciąż jeszcze odżywają w pamięci pokolenia, które doświadczyło na sobie jej tragicznych skutków. Naród, który był oklaskiwany, trzymany do ostatnich dni przed katastrofą wrześniową w przekonaniu o własnej potędze — ten naród w końcowym rozrachunku musiał na swoich barkach dźwigać cały ciężar odpowiedzialności za błędy i zdrady sanacyjnych polityków.

Książka Władysława Smólskiego pt. „Zaklęte lata" przedstawia z całą surowością ohydę, bestialstwo, przemoc i barbarzyństwo okupanta w pierwszych dniach po zajęciu Warszawy przez Niemców. I chociaż jest to temat, który nie stanowi novum w naszej literaturze, to tragiczne sprawy tamtych dni są nadal aktualne. Można zaleczyć rany zniszczeń wojennych, lecz nie sposób wyrwać z pamięci zasiane 25 lat temu nasiona goryczy. Można dyskutować z autorem na temat jego spojrzenia na winę i karę, nie można jednak odmówić mu wnikliwości obserwatora i talentu pisarskiego.

Ta książka spełni należycie swoją rolę. Jest mementum dla tych, którzy wciąż jeszcze myślą o odwecie.

**E. I.**

**Władysław Smólski — Zaklęte lata, Inst. Wydawn. PAX. 1964 r. Stron 298. Cena 20 zł.**

### PROZĄ POETY

Opasły 800-stronicowy tom wielkiego, a nie najszczęśliwszego, wydania „Dzieł" Juliana Tuwima nie miał szans, aby stać się bestsellerem roku. Źle by się jednak stało, gdyby ta pasjonująca książka, pozostała niezauważona trafiając tylko na półki bibliotek speców od spraw literatury, choć suma nakładu i cena świadczą o tym, że taki właśnie los przeznaczyło jej Wydawnictwo. Proza Tuwima, margines twórczości poety, może liczyć na zainteresowanie czytelnika, nie tylko jako komentarz ułatwiający zrozumienie osobowości i wierszy twórcy „Kwiatów polskich", ale sama jest dobrą, godną czytania literaturą.

Na czołowe miejsce wysuwają się tu wspomnienia poety z lat młodości. Rewelacją edytorską tomu stał się szkic „Moje dzieciństwo w Łodzi", nieznany dotychczas najtęższym nawet tuwimologom. Pamiętnikowe fragmenty, które wyszły spod pióra Tuwima, to bezsprzecznie jedne z najpiękniejszych kart, jakie literatura poświęciła robotniczemu miastu. Z częścią wspominkowo-osobistą łączą się w tomie ciepłe wspomnienia o ludziach przyjaźnych Tuwimowi, takich jak Leopold Staff, czy Zdzisław Dębicki, oraz namiętne filipiki przeciwko wrogom poety. Pełne pasji i zapierzenia, dowcipu i sarkazmu wypowiedzi polemiczne mogące szokować nas wychowanych na ugrzecznionej papce współczesnej publicystyki, nie przestały być pasjonującą lekturą, pomimo że meritum sporów jest już częstokroć przebrzmiałe i nie wszystkie sądy poety zostały przez czas zweryfikowane.

Do najbardziej osobistych należą te fragmenty tomu, w których Tuwim wspomina swoje kolejne bziki, zbiory i koniki oraz opowiada o swych pracach przekładowych i zamiłowaniach poetycko-szperaczych. Niektóre szkice Tuwima to całe rozprawki historyczno-literackie, pisane jednak nie z myślą o garstce znawców, a dla szerszej czytającej publiczności. Niestety, część z tych szkiców pochodzi ze zbioru „Pegaz dęba", któremu należy się już pełna reedycja, koncepcja częściowego przedruku nie zadowala nikogo, a niepotrzebnie rozdyma cały tom.

**J. D.**

**J. Tuwim: Pisma Prozą. Oprc. J. Stradecki, Warszawa, 1964, „Czytelnik", str. 806, Dzieła t. 5. (Nakł. 6.290, cena 60 zł).**

EWA SIEMIŃSKA

# Grzesznicy bez winy?

**Oto**
**motto**
**kinomana**
**kino**
**dla erotomana**
(trawestacja z „Otomany" — J. Minkiewicza)

**„Luksusem myślowym, bez którego działalność pisarska i krytyczna staje się czynnością jałową i bezbarwną, jest luksus niezgody"** — pisze Krzysztof Teodor Toeplitz w „Posłowiu" do swojego „Świata bez grzechu". Lecz chociaż w naturze ludzkiej drzemie pragnienie luksusu, chyba nie jego powszechność zadecydowała o powodzeniu książki. „Świat bez grzechu" zniknął z półek księgarskich momentalnie. Nie tylko za sprawą doskonałego pióra autora, barwności jego języka. Bo przecież w tym samym czasie ukazało się również „Kino dla wszystkich" i nie podzieliło losów bezgrzesznego „Świata", choć na brak popularności też nie może narzekać. Przyczyn należy szukać gdzie indziej. I nietrudno je znaleźć. Leżą w samej problematyce książki, w posmaku owej sensacji przeciętnego odbiorcy, sensacji, jaką wywołuje sprawa erotyzmu. Właśnie owa popularność książki budzi i we mnie samej pragnienie luksusu niezgody, tym razem z autorem „Świata". Tym bardziej, że autor sam wielkodusznie zachęca do owego luksusu: — „nie upieram się przy całkowitej trafności moich spostrzeżeń i wniosków". Robi to jednak nie bez pewnej asekuracji: „nie będę się wstrzymywał ani przed wnioskami jaskrawymi, ani też nie będę kładł tamy przypuszczeniom i pomysłom nie dość skrystalizowanym. Czułem się do tego upoważniony nie tylko przez prawa należne gatunkowi literackiemu, jakim jest esej, ale również przez rodzaj problematyki poruszanej w tej książce. Są to rejony z jednej strony od wieków penetrowane, z drugiej zaś ciągle niejasne i mgliste". Nasuwa się tu pewne porównanie. To właśnie Krzysztof Teodor Toeplitz napisał z okazji książki A. Lisieckiej o pokoleniu „pryszczatych", „Ślizgawkę". No cóż — każdemu wolno się poślizgać. Widać ten sport urzeka. Przyjrzyjmy się bliżej owemu balansowaniu na lodzie.

**„Zwrócono nam wolność prawie doskonałą, a mianowicie pozbawiono konieczności porachunku z sobą samym, pozbawiono ograniczeń, jakie narzucić musi sobie jednostka dysponująca absolutnym prawem wyboru".** I dalej: **„erotyzm staje się buntem, ale jest to bunt przeciw światu, który wyrażając zgodę na wszystko pozbawia nas równocześnie wszelkiej wolności". Niewolnicy wolności. Grzesznicy bez winy, bo „grzech zinterpretowany, udowodniony za pomocą aparatury determinizmu społecznego lub wyjaśniony za pomocą badań lekarskich, nie jest grzechem". Powyższe wypowiedzi Toeplitza wyjaśniają, skąd bierze się jego niewiarygodne stwierdzenie, że film współczesny, tzn. wojenny i powojenny przyniósł redukcję problematyki psychologicznej. Prawdziwość tego stwierdzenia równa jest prawdzie zdania, że pozbawieni jesteśmy konieczności porachunku z sobą samym.**

Cały „Świat bez grzechu" poświęcony jest sprawom erotyzmu i miłości w filmie, co nie przeszkadza Toeplitzowi wysnuć twierdzenia, że prawdziwy erotyzm jest w filmie niemożliwy. Tu właśnie napotykamy w książce na największą sprzeczności. W okresie ostatniej wojny — pisze Toeplitz — „akcent miłości filmowej przesunął się ze sfery sentymentalnej lub nawet obyczajowej w kierunku czystego erotyzmu". Jak pogodzić ów „czysty erotyzm" z następującym stwierdzeniem: sprawa erotyzmu w filmie jest w pewnym sensie sprawą beznadziejną. (...) Dojść musimy do wniosku, że rzeczywisty erotyzm w filmie, demonstrujący się pod postacią obrazów erotycznych, jest niemożliwy". Widz kinowy zostaje zdegradowany przez Toeplitza wyłącznie do roli „podglądacza" i „kolekcjonera" obrazów pornograficznych, którego ta filmowa kolekcja nie jest w stanie usatysfakcjonować, i który oczekuje coraz to śmielszych erotycznie obrazów na srebrnym ekranie. Ów widz, masa-man, człowiek z tłumu o poziomie dwunastolatka w sferze kultury uczuciowej.

**I tu wychodzi całe zafascynowanie Toeplitza pewnymi skrajnymi koncepcjami socjologicznymi z dziedziny kultury masowej na Zachodzie. One to właśnie stanowią podstawę i punkt wyjścia wszystkich koncepcji prezentowanych przez bezgrzeszny „Świat". Stąd bierze się cała kruchość argumentacji, jednostronność i ograniczoność perspektyw książki. Szukanie motoru historycznego rozwoju filmu w ogóle, filmu jako całości w oparciu o te koncepcje wydaje się być w świetle współczesnej socjologii co najmniej nieporozumieniem. Nieporozumieniem tym większym, że w tych kategoriach autor rozstrzyga nie tylko o rozwoju historycznym filmu, lecz również wypowiada sądy o stanie kultury uczuciowej współczesnego człowieka. Prezentowana tu filozofia nie może więc być siłą rzeczy najdroższego gatunku.**

„Cywilizacja współczesna z jej swobodą obyczajową i nowoczesnością, postępem technicznym i indyferentyzmem moralnym, równością społeczną i agresywnością otworzyła tamy, przed którymi zatrzymała się dotychczas połowa ludzkości i gwałtowne wtargnięcie kobiet jako równoprawnych partnerów świata, rządzonego dotychczas i urządzonego przez mężczyzn, jest kataklizmem tego świata. Można by mówić o historycznych uwarunkowaniach tego kataklizmu." Niektóre z przytaczanych przez Toeplitza argumentów są nie tylko dziwne, lecz przeczą także właściwej mu elegancji i dowcipowi. „Mężczyzna zdegradowany zostaje (...) z roli pana sytuacji do roli obiektu, poszukiwanego przez kobiety, w najlepszym zaś wypadku do roli partnera o równych, ale nie większych niż kobieta uprawnieniach. Łatwość, z jaką zdobywa kobiety nasuwa podejrzenie, że owe zdobycze są pozorne, że być może nie jest on zdobywcą lecz zdobyczą. Atawistyczne poczucie władztwa i przewagi buntuje się przeciwko temu przypuszczeniu, co znajduje ujście w przeświadczeniu, że wszystkie kobiety to dziwki". I jeszcze jeden „rodzynek": „przekonanie o obcości płci przeniknęło (...) tak głęboko do życia codziennego, że wystarczy podsłuchać jakąkolwiek męską rozmowę o życiu, jakiekolwiek spotkanie kolegów lub znajomych (...)". I tym zdaniem autor właściwie sam podsuwa ocenę swej książki. „Świat bez grzechu" jest właśnie taką męską rozmową o życiu i jego obrazie w filmie z gronem czytelników. Rozmową przybierającą czasami wszelkie pozory naukowości dla nadania powagi i wiarogodności prezentowanym wywodom.

**Jest jednak w omawianej książce partia znakomita — oddajmy jej sprawiedliwość. Są to szkice o Marilyn Monroe i Brigitte Bardot, napisane z doskonałym „zębem" socjologicznym, trafne, żywe, barwne i interesujące. Zaprzeczenie tych wartości stanowią natomiast próby analiz i interpretacji wybranych polskich filmów powojennych, przymierzane na siłę do przyjętych z góry koncepcji. A więc wartościowe jest w tej książce to, co znaliśmy już dawniej, z „Dialogu". W świetle tego problematyczna staje się celowość publikacji „Świata", jeśli oczywiście pominiemy cele autorskie. I gdybyśmy nawet zgodzili się z autorem, że rzeczywistość filmowa to świat bez grzechu, to trudno to samo powiedzieć o jego książce. Grzechów znalazłoby się tu wiele. Wydaje mi się, że stanowczo zbyt wiele. I to dość kardynalnych.**

*„Kontrasty"* *Foto. A. Idziński*

ANDRZEJ GRUN

# Po wystawie artystów sopockich

Mieliśmy możność konfrontacji i to konfrontacji dwojakiego rodzaju. Rzeczywistości z opinią ogólnie przyjętą, iż środowisko sopockie — to jedno z najprężniejszych naszych środowisk artystycznych. Mieliśmy też okazję do porównania aktualnych osiągnięć artystów łódzkich z osiągnięciami twórców analogicznego środowiska. Bowiem po niedawnych ekspozycjach, prezentujących dorobek okręgu łódzkiego, pawilony BWA w Parku Sienkiewicza gościły wystawę malarstwa, grafiki i rzeźby artystów sopockiego oddziału ZPAP.

Zaprezentowane więc zostały łódzkiej publiczności prace plastyków już znanych, takich jak Zabłocki, Jackiewicz, Ostrowski, Śramkiewicz, Borowski, obok prac niedawnych dyplomantów szkoły gdańskiej — Rogozińskiego, Góry, Łajminga, Szostaka-Gąsiennicy. Na ogół większość spośród wystawiających w jakiś sposób związana jest z PWSSP w Gdańsku, bądź to studiami, bądź też pracą pedagogiczną. Można więc mówić śmiało w tym wypadku o czymś w rodzaju grupy twórczej, co prawda bez określonego programu artystycznego, ale zespolonej za to konkretną pracą i latami studiów w takim ośrodku szkolenia artystycznego jakim jest szkoła gdańska.

Wystawa miała te same wady i zalety co każda, dorocznа ekspozycja okręgowa. Poziom prezentowanych prac nie był jednolity — pokazane zostały obok prac dobrych czy nawet bardzo dobrych, prace słabe. Jednocześnie dawała możność orientacji co do aktualnych kierunków poszukiwań i aktualnych osiągnięć wystawiających.

Nie ma większego sensu w tego rodzaju recenzji omawiać kolejno poszczególnych autorów. Nie widzę też powodu do krytycznej oceny ich twórczości. Artykuł tego typu powinien informować o istnieniu wystawy, zachęcać albo odradzać jej obejrzenie, sygnalizować ciekawsze na niej pozycje. Dlatego ograniczę się tylko do przypomnienia niektórych płócien, których obecność była — moim zdaniem — dostatecznym powodem do zwiedzenia tej ekspozycji.

A więc obrazy najbardziej „rzucające się w oczy" — wielkie tempery Kazimierza Ostrowskiego, będące raczej szkicami do kompozycji ściennych, niż samoistnymi obrazami. Ostrowski, uczeń Legera, absolwent szkoły gdańskiej, specjalizuje się od lat w malarstwie ściennym. Należy do tych nielicznych ścienników, którzy „czują i rozumieją ścianę". Nie ogranicza się on do płaskiej dekoracyjności. Znając doskonale relacje zachodzące pomiędzy malarstwem a architekturą, idzie w kierunku zgrania przestrzennej kompozycji malarskiej z przestrzenną wszak kompozycją architektury. Parę lat temu miała miejsce w pawilonach sopockich duża wystawa jego prac. Kosmiczne pejzaże, odrealniona architektura hal przemysłowych, tajemnicze miasta i wnętrza, dają wrażenie przedziwnych scenografii. Obrazy zaprezentowane w Łodzi nie należały co prawda do najlepszych, ale niemniej były typowe i dawały pojęcie o sztuce Ostrowskiego. Biegunowo różna od tej, jest sztuka Władysława Jackiewicza. Utrzymane w konwencji zamkniętego obrazu, owalne statyczne płaszczyzny, prowadzone w waskich gamach kolorystycznych, wydają się być dalekimi reminiscencjami płaszczyzn Dubuffeta. Ostrowski maluje z rozmachem. Z koloru, światła i przestrzeni buduje dynamiczne, rozsadzające ramy kompozycje. W tych obrazach to najważniejsze dzieje się na zewnątrz. W płaszczyznach Jackiewicza najistotniejsze sprawy rozgrywają się jakby we wnętrzu obrazu, pod jego wibrującą powierzchnią. Podobne zresztą myślenie prezentowały grafiki Jana Góry, jednego z najmłodszych uczestników wystawy.

Jego płaszczyzny o malarskim wprost działaniu to najciekawsze dla mnie pozycje. Pomijając jednak już ich poziom artystyczny, są niezwykle interesujące z punktu widzenia technicznego. Metalowa płytę poddano wielostronnej i różnorakiej obróbce, dokonano na niej całego szeregu zabiegów, a wszystkie wykonane z precyzją i czystością iście gielniakowską. Zresztą istnieją jakieś analogie — mówię o techniczno-formalnej stronie — między linorytami Gielniaka a metalami Góry.

Udając się na tę wystawę, można było oczekiwać słusznie pewnej ilości obrazów marynistycznych. Tymczasem właściwie tylko Kazimierz Śramkiewicz zaprezentował nam tego rodzaju malarstwo. Zresztą morze, przystań rybacka, port nad Motławą — to tematy inspirujące od dawna jego sztukę. Analityczny i rzetelny, podchodzi do nich z iście naukową pasją badacza. Powstają obrazy nieefektowne, ale za to przemyślane, kulturalne w kolorze i co najważniejsze — uczciwe.

Rzeźby nie dostrzegało się właściwie. Nie ze względu na małą ilość eksponatów — bo zaledwie pięć czy sześć sztuk — ale po prostu dla słabego jej poziomu. Ta właśnie ich żadność, połączona z nie najszczęśliwszym wyeksponowaniem sprawiała, iż były zupełnie niezauważalne.

Zaprezentowane prace cechowała różnorodność i oryginalność, tak tematyczna jak i formalna. Były oczywiście na wystawie i złe obrazy. Pseudointelektualne kompozycje Usarewicza czy „abstrakcje" Jerzego Skrabeca, pseudoprymitywy Wieczorka czy „podmalówki" Łajminga. Ale jeżeli nawet na wystawie wisi tylko jeden dobry obraz — należało ją zwiedzić. A na tej wystawie było aż kilka dobrych obrazów.

**KRONIKA**

## Co i dla kogo?

Prawie codziennie, w godzinach przedpołudniowych, telewizja nadaje programy dla szkół. Są to często rzeczy bardzo ciekawe, a już na pewno kształcące i dla młodzieży rzeczywiście potrzebne. Na przykład: w ramach „Dziejów dramatu" nadano niedawno „Skowronka" Anouilha oczywiście z odpowiednim komentarzem. Zachodzi tylko pytanie: kto tego słucha? Bo młodzież, dla której audycje te są przeznaczone, chyba nie. Przecież właśnie wtedy odbywają się lekcje. Powie ktoś: słuchają tych audycji uczniowie odpowiednich klas w czasie godzin lekcyjnych. Być może. A nawet na pewno. Znam jednak dziesiątki szkół w Łodzi i gdzie indziej, które wcale z programów tych nie korzystają. Więc jeśli korzystają z tego uczniowie to zaledwie w części. A jeśli w części — to wielka szkoda, bo korzystać powinni wszyscy. Wiadomo przecież, że nie każdy przeczyta „Skowronka" w egzemplarzu, natomiast każdy chętnie obejrzy go w telewizji. Telewizja może oddać kolosalne usługi szkole, cóż z tego, skoro dotychczas nie została w pełni wykorzystana.

Zastanawiam się również, kto, jacy widzowie, oglądają cykliczną teleaudycję „Spotkanie z poetą". Jak na razie Łódź dostąpiła raz zaszczytu i zorganizowano w ramach tego cyklu spotkanie z Marianem Piechalem. Trzeba powiedzieć, że było ono bardzo udane. Może dlatego, że odbiegało nieco od schematu. Zazwyczaj poeta wypowiada krótkie „credo artystyczne", po czym aktorzy recytują jego wiersze. Cóż może poeta powiedzieć rewelacyjnego w ciągu dwóch, trzech minut? Niewiele. W audycji z Piechalem pokazano Łódź, to znaczy te miejsca, które wiążą się z życiem i twórczością poety. I to było świetne. Dobrze także, choć wybór zastosowano jednostronny, recytowano jego wiersze. Najnowsze spotkanie z poetą poświęcono Bohdanowi Drozdowskiemu, byłemu łodzianinowi, a obecnie warszawiakowi z krwi i kości. Drozdowski był piekielnie stremowany, a co gorsza czytał swoją wypowiedź z kartki, miast mówić. Człowiek, który tekst swój czyta, traci bardzo wiele. Wypowiedź czytana zawsze jest nieco „drętwa" i z reguły mniej szczera. Nie chcę przez to powiedzieć, że Drozdowski w swej wypowiedzi był nieszczery. Ale wypadłoby to znacznie lepiej, gdyby mówił, a wiemy przecież, że mówić potrafi. Natomiast ładnie wypadły jego wiersze, recytowane przez Gogolewskiego i Zapasiewicza.

Ciekawym novum była audycja Grodzieńskiej, w której autorka pokazała rodzinę (mama, tata i córka), oglądającą program telewizyjny. Po każdej pozycji niedzielnego programu, rodzina oceniała jego treść i wykonanie, w czym było sporo humoru i nieoczekiwanych pointe. Otóż po spotkaniu z Drozdowskim, córka w owej rodzinie, powiedziała: „Te wiersze to pisał chyba człowiek stary, bo ja wszystko w nich rozumiem". Ciekawe, prawda? Najcenniejsze w spotkaniu z Drozdowskim okazały się jego wiersze: komunikatywne i wiadomo, co w nich poeta chciał powiedzieć. Ależ to olbrzymi sukces, gdy się zważy, że zazwyczaj nie wiadomo, o co chodzi w wierszach pisanych przez młodych poetów. Ale i Drozdowski nie jest stary. Osiągnął zaledwie wiek chrystusowy (trzydzieści trzy lata). Więc można być młodym i pisać zrozumiale. Co za odkrycie!

Naturalnie wszyscy z radością oglądamy programy rozrywkowe. Bieda w tym, że jest ich mało, a i te, które się pojawiają, nie zawsze wydają się być najlepsze. Z audycji ostatniego tygodnia wyróżniłbym „Kalejdoskop rytmów i melodii", nadany z Katowic. Sympatyczny pianista, sympatyczna orkiestra, dobrzy wokaliści, kilka ładnych piosenek — to bardzo wiele, jak na jeden program rozrywkowy. Niestety, pozostałe programy rozrywkowe „cierpiały" na niedokrwistość pomysłów i wykonania.

Piszący te słowa śledzi z uwagą programy publicystyczne. Z przykrością musi stwierdzić, że większość z nich jest po pierwsze: nudna, bo nie wykracza poza znane z gazet i radia wiadomości, po drugie: za mało dba się w nich o taki dobór uczestników, którzy by reprezentowali zróżnicowane poglądy i temperamenty. Jeśli w dyskusji wszyscy godzą się na wszystko — to po co dyskusja? Redaktor „Prawa i życia" Kazimierz Kąkol (nawiasem mówiąc, też łodzianin) jest doskonałym mówcą i słucha się go raczej z uwagą. Ale w dyskusjach ma on tendencję do zbyt skróconej analizy i pospiesznych wniosków, co odbija się i na uczestnikach dyskusji i na nas, widzach i słuchaczach. Do dziś pamiętamy „gawędy telewizyjne" redaktora „Życia Warszawy" — Henryka Korotyńskiego, podobają się nam (ostatnio coraz rzadsze) komentarze polityczne Karola Malcużyńskiego, zdumiewała nas sprawność Grzegorza Jaszuńskiego. Ci, którzy ich zastępują, nie radzą sobie, niestety.

Mówi się potocznie, że radio to cywilizacja gadana, a telewizja to cywilizacja obrazkowa. Ludzie lubią sobie po swojemu nazywać różne zjawiska naszego współczesnego życia i świata. Jeden z takich przedstawicieli „ludowego rozsądku" powiedział: „Boję się, żeby ta cywilizacja obrazkowa nie stała się cywilizacją gadaną". Ano właśnie.

Jan Koprowski

# Szanowny Panie Redaktorze

W Parku Sienkiewicza była galeria. Wysoka na 7, szeroka na 9, długa na 30 metrów. Rząd wysokich, półokrągłych okien oświetlał dziennym światłem szarą ścianę, na której wieszało się obrazy.

Były także przenośne ścianki, z których można było urządzać boksy — jak kto sobie życzył. Wszyscy psioczyli: że landara, że kobyła, że kicha, że wysoka, że okna, że taka, że siaka, że owaka, że niemodna, że nienowoczesna.

No i galerię przerobiono.

Teraz ma wejście z boku, schodki, przedsionek według współczesnych naszych norm estetycznych, kontrastowo zestawione. październikowki (żeby było ładnie); poniektóre ścianki malowane na niebiesko, od góry rząd pasków (żeby było interesująco) nisko i jarzeniowo (żeby było nowocześnie). Zupełnie jak w kiosku z obuwiem. Niektóre jarzeniówki o ciepłym, inne o zimnym zabarwieniu mają oświetlać obrazy. Górne partie obrazów drżą w dwojakim, niezdecydowanym świetle, dolne toną w półmroku.

Wszystko troi się w oczach — nie ma mowy o jakiejkolwiek znośnej ekspozycji. Łódzcy malarze cieszą się z tego cholernie. Z rzeźbą też niezgorzej; w ogóle jej się nie zauważa — tak dokładnie roztapia się w mętnym mroku.

Jest tak sprytnie zakamuflowana, że dostrzegamy (a raczej odczuwamy) ją dopiero wtedy, gdy się na nią nadziejemy.

Nieliczni łódzcy rzeźbiarze cieszą się z tego cholerycznie.

— Podobno przerabiano starą galerię z entuzjazmem.

— Podobno miało to być „coś".

— Podobno miała to być pierwszorzędna galeria.

A może by, proszę panów, urządzić wreszcie galerię?

Bardzo mi przykro, że panom, którzy przerabiali galerię sprawiam dużą przykrość, ale największą przykrość mają za każdym razem ci, którzy tam wystawiają.

WACŁAW KONDEK

# Notatki na marginesie

Na aukcji dzieł sztuki w galerii Sotheby w Londynie „Portret Morgana Russell" osiągnął najwyższą cenę. Obraz sprzedany został za sumę 175.000 dolarów. Sumę tę poprzedniemu właścicielowi, australijskiemu wicepremierowi Dr Evattowi wypłacił pewien nowojorski handlarz dzieł sztuki.

**Gyula Meszes Tóth-Rodzina**

Wydarzeniem w życiu artystycznym Węgier stała się ostatnio wystawa malarstwa, rzeźby i grafiki pod nazwą Studio-64, zorganizowana przez Zrzeszenie Młodych Twórców. Krytyka zgodnie uznała, że wystawa wykazała, iż twórczość plastyczna rozkwita tylko w atmosferze wolnego wyboru tematu i formy. Prasa węgierska podkreśla, iż młodzi twórcy, wypowiadając się szczerze i bez przymusu, nie przeoczyli szansy ukazania pełnej skali swych talentów i możliwości.

Zrzeszenie Młodych Twórców pod nazwą — Studio — istnieje od roku 1957 i skupia młodzież. (Granicą wieku jest 35 rok życia). Zrzeszenie korzysta z szerokiego poparcia władz i dzięki temu stwarza młodym adeptom sztuki warunki umożliwiające pracę twórczą, przydziela atelier, stypendia, dokonuje zakupów.

W zasadzie do Zrzeszenia należą absolwenci Wyższych Szkół Plastycznych, cenzus naukowy nie jest jednak traktowany jako sztywna i nieprzekraczalna granica. Seminaria i wykłady prowadzone przez najwybitniejszych artystów węgierskich, a także świetne zaplecze techniczne jakim dysponuje Studio, stwarza jego członkom dodatkowe możliwości kształcenia i doskonalenia warsztatu twórczego.

Słodka Francja, matka kultury europejskiej, podjęła na jeszcze jednym polu współzawodnictwo z Ameryką: oto „Barbarella", książka-comics bije wszystkie rekordy nakładowe. Bohaterką tej serii rysunkowej jest zgodnie z francuską tradycją i charakterem kobieta, a właściwie superkobieta: jej awanturnicze przygody, to mieszanka erotyzmu i ukrytej kpiny z zaoceanicznych wzorów tego typu publikacji. Książka jest droga, mimo to stała się bestsellerem. Nabywcy, to oczywiście mężczyźni: ci po niżej 16 roku życia i ci po pięćdziesiątce.

Amerykańska wytwórnia filmowa Warner Brothers zakupiła za sumę 250.000 dolarów u publicystki Heleny Gurley Brown prawa autorskie dotyczące jej głośnej pracy pt. Sex and the Single Girl (Sex i dziewczyna sa motna).

Warner Brothers mieli oczywiście nadzieję, że książka okaże się niemal gotowym scenariuszem. Tymczasem po opracowaniach hollywoodzkich specjalistów od filmu, z pracy pani Brown został tylko tytuł: jego handlowa wartość nie budzi jednak wątpliwości i wytwórnia zapowiada szlagier „odsłaniający tajemnice alkowy współczesnej amerykańskiej dziewczyny".

Honorarium pani Brown, choć wysokie, nie pobiło jednak rekordu: Edward Albee, autor głośnej sztuki „Kto się boi Wirginii Woolf" za prawo jej ekranizacji uzyskał 2 miliony dolarów.

Na scenie nowojorskiego Alvin Theater w pełnym, trzygodzinnym widowisku noszącym tytuł „Maurice Chevalier w 77 roku życia", najsławniejszy pieśniarz Francji tańczy z młodzieńczą werwą, śpiewa i znakomicie bawi publiczność. Największy sukces to piosenka „Jakiż jestem rad, żem już niemłody". Maurice musi ją nieodmiennie bisować a potem zarzucany zostaje kwiatami.

Prasa nowojorska snuje rozważania na temat którejś tam młodości Chevaliera i żartuje sobie z jego kokieterii: pieśniarz bowiem wyraźnie się postarza, lubi to robić: 77 lat ukończy przecież dopiero we wrześniu.

W Nicei zmarła 97-letnia A. Caroline Otero, jedna z najsławniejszych tancerek świata. Otero, czternastoletnią wówczas dziewczynę, przywiózł do Monte Carlo pewien włoski arystokrata i tu — całkiem w stylu epoki — przegrał ją w karty. Młodziutka, niezwykle utalentowana tancerka zasłynęła wkrótce jako „La belle Otero" i osiągnęła szczyty sławy, tworząc własny styl tańca. Do jej adoratorów należeli Wilhelm II, Edward VII i Wielki Książę Mikołaj. Wycofawszy się z czynnego życia artystycznego „La belle Otero" żyła z uskładanych kapitałów. Słynęła też z posiadania wspaniałej biżuterii. W latach trzydziestych niemłoda już diva cały swój majątek przegrała w kasynie gry w Monte Carlo. Zmarła w skrajnej nędzy.

# Notatnik KULTURALNY

**PONIEDZIAŁEK**

Uwodzicielski flirt „lwicy" salonowej, jak w XIX stuleciu nazywano światowe piękne damy, i złamane przez kobietę życie skromnego człowieka, ziemianina, oto modna w owych czasach koncepcja „niedobrej miłości", która nam opowiedział teatr TV w zaadaptowanym dla celów telewizyjnych przez Z. Bieńkowskiego utworze Turgieniewa „Dym". Na ogół, z nielicznymi wyjątkami, otrzymujemy w poniedziałek od Telewizji spektakle wysokiej klasy tak pod względem literackim, jak — aktorskim. I tym razem adaptacja wypadła pierwszorzędnie i chyba nie uroniła nic z delikatnej materii utworu wielkiego pisarza. Również wykonawcy zademonstrowali kunszt najwyższej klasy: wystarczy zresztą wymienić nazwiska Niny Andrycz (którą podziwialiśmy w każdym geście i słowie), B. Ludwiżanki, W. Krasnowieckiego, S. Zaczyka, P. Pawłowskiego. Epizodyczną rolę arystokratycznego generała grał Andrzej Szalawski, jak zawsze — znakomity! Pamiętamy Szalawskiego z Łodzi, pamiętamy jego wielkie role na łódzkich scenach i ogarnia nas melancholia... Stolica „przeludniona" gwiazdami i gwiazdorami teatralnymi spycha nazbyt często świetnych aktorów do ról epizodycznych. Czy nie lepiej było, panie Andrzeju, kreować wielkie role w stolicy włókniarzy niż kontentować się epizodami w Warszawie?

**WTOREK**

Bardzo interesujące uwagi wypowiada André Maurois na marginesie recenzji książki Aurela Dawida „La cybernétique et l'humain" we francuskim tygodniku literackim „Nouvelles Littéraires" nr 1960 z 25 marca 1965 r. „Jeśli nawet maszyna wykonywa bezbłędnie otrzymane polecenie, to nie jest ona zdolna do podjęcia inicjatywy" pisze autor „Klimatów". Na przykład, aparaty automatyczne mogą skierować w razie potrzeby okręt do wyznaczonego portu, lecz wybór portu zależny jest od inicjatywy lub woli kapitana. Wreszcie, „żadna maszyna nie stworzy symfonii Beethovena, ani nie napisze balzakowskiego „Ojca Goriot".

**ŚRODA**

Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi ustanowiło Fundusz Postępu Pedagogicznego na rozwijanie, prowadzenie i upowszechnienie wyników nowatorskiej, eksperymentalnej działalności pedagogicznej. Fundusz obejmuje wszystkie szkoły i placówki pedagogiczne województwa łódzkiego. Nagrody przyznawane będą dwa razy do roku, 1 maja oraz w Dniu Nauczyciela. Są to nagrody trzystopniowe, po siedem, pięć i trzy tysiące złotych. Decyduje, oczywiście, Rada Funduszu. Bardzo nas cieszy ta uchwała Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. Mają swe nagrody wynalazcy i racjonalizatorzy w przemyśle, słusznie więc pomyślano również o pracownikach w dziedzinie humanistyki.

**CZWARTEK**

W tym roku mija czterdziesta rocznica zgonu Władysława Stanisława Reymonta, który ostatnie sześć lat swego życia spędził w miejscowości Kołaczkowo powiatu Września, gdzie też przyszła w końcu października 1924 roku wiadomość ze Sztokholmu via Warszawa o przyznaniu autorowi „Chłopów" Nagrody Nobla. Przypomina nam o tym p. Antoni Kaczmarek nauczyciel z Wrześni. Reymont był honorowym obywatelem ziemi wrzesińskiej, która postanowiła uczcić wspomnienie pobytu wielkiego pisarza w Kołaczkowie przez przebudowę pałacyku, w którym mieszkał i pracował laureat Nagrody Nobla. Pałacyk zostanie przebudowany na Muzeum Regionalne im. Władysława Stanisława Reymonta ze zbiorami cennych eksponatów — pamiątek, zdjęć fotograficznych, niepublikowanych listów, nieznanych rękopisów itp.

**PIĄTEK**

W Klubie Dziennikarza odbył się pokaz filmu Federico Felliniego pt. „Osiem i pół" (cyfra oznacza ilość zrealizowanych przez słynnego twórcę nowej kinematografii włoskiej filmów). To znakomite dzieło jest filmem o niemożności stworzenia filmu (aby przetłumaczyć na język bardziej nam zrozumiały: coś w rodzaju antypowieści na temat niemożności w dniu dzisiejszym z różnych przyczyn napisania powieści; tego rodzaju antypowieścią — toute proportion gardée — są „Góry nad Morzem Czarnym" Wilhelma Macha). W filmie Felliniego występuje cała plejada gwiazd z Mastroiannim, Claudo Cardinale i innymi. Mastroianni kreuje rolę reżysera przeżywającego męki twórczości i posądzanego o to, że nie ma on już w ogóle nic do powiedzenia (w sensie artystycznym) i skończył się jako twórca.

**SOBOTA**

W sali „empirowej" Wojewódzkiej Rady Narodowej w dawnym pałacu Poznańskich przy ul. Ogrodowej odbyła się narada aktywu związkowego, bibliotekarskiego, księgarskiego i in. w sprawie programu obchodów Dni Oświaty, Książki i Prasy. Przewiduje się tysiąc pięćset spotkań z posłami, działaczami politycznymi oraz pisarzami. Ponadto zostanie urządzonych sto pięćdziesiąt wystaw obrazujących osiągnięcia Ziemi Łódzkiej w okresie ostatniej kadencji Sejmu i rad narodowych. Między innymi zostanie również oddany do użytku nowo wybudowany w Łowiczu Dom Książki, zaś w Brzezinach — Miejska i Powiatowa Biblioteka. Zostanie uruchomionych trzydzieści klubów prasy we wsiach oraz nowe punkty biblioteczne. A ponadto konkursy, spotkania młodzieży z wojskiem itd. Szczegółowe omówienie bogatego programu wymagałoby napisania dużego artykułu. Inauguracja Dni Oświaty Książki i Prasy w województwie łódzkim odbędzie się w tym roku w Łowiczu w dniu 2 maja br. w związku ze wspomnianym oddaniem do użytku społeczeństwa Domu Książki.

**NIEDZIELA**

Państwowy Teatr Nowy wystąpił przed świętami z premierą komedii sensacyjnej Roberta Thomasa „Osiem kobiet". Szczegółową recenzję z tej nowości zamieszczą „Odgłosy" w następnym numerze. Na razie warto zanotować osiągnięcia aktorskie, szczególnie trzech pań: Wandy Jakubińskiej, Ewy Zdzieszyńskiej i Janiny Jabłonowskiej.

ARYSTARCH

# PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

ISAAC ASIMOV

## SZTUCZNY NAUCZYCIEL

Marjory napisała wtedy w swoim dzienniku na stronicy pod datą 17 maja 2157 roku: „Dzisiaj Tommy znalazł prawdziwą książkę!"

Była to bardzo stara książka. Dziadek Marjory opowiadał jej, że dawniej wszystkie powieści i nowele drukowano na papierze.

Dzieci odwracały pożółkłe delikatne kartki i strasznie je to śmieszyło, kiedy czytały słowa, które stały w miejscu i nie ruszały się tak jak to zwykle bywa na ekranie. A potem gdy wracały do stron początkowych znajdowały te same słowa, które czytały pierwszy raz.

— Ależ to marnotrawstwo — oburzył się Tommy. — Prawdopodobnie wtedy książki wyrzucano po przeczytaniu. A na naszym teleekranie było już chyba milion książek, a ile jeszcze będzie? Nie, naszego ekranu nigdy bym nie wyrzucił!

— Ja też — potwierdziła skwapliwie Marjory. Miała jedenaście lat i widziała dużo mniej teleksiążek niż Tommy, który był od niej o dwa lata starszy.

— Gdzie ją znalazłeś — spytała.

— W naszym domu na strychu — odpowiedział, nie unosząc głowy znad książki.

— O czym w niej piszą?

— O szkole.

— O szkole? — powiedziała pogardliwie. — Nie rozumiem dlaczego o niej piszą. Jest wstrętna, nienawidzę jej.

Marjory nigdy nie lubiła szkoły, a ostatnio uczucie nienawiści wezbrało w niej z podwójną siłą. Mechaniczny nauczyciel bez przerwy zadawał jej prace kontrolne, a Marjory robiła je coraz gorzej i wtedy mama ze smutkiem pokiwała głową i poprosiła by przyszedł Dzielnicowy Inspektor.

Był to mały pulchny mężczyzna z czerwoną twarzą. Przyniósł ze sobą skrzynię z narzędziami, w której znajdowały się jakieś przyrządy i druty. Uśmiechnął się do Marjory i dał jej jabłko, a następnie rozebrał nauczyciela na części. Marjory miała nadzieję, że on nie będzie umiał go złożyć, ale złożył i po niespełna godzinie nauczyciel był już gotowy: olbrzymi, czarny, odrażający, z wielkim ekranem, na którym pokazywał wszystkie lekcje i zadawał pytania. Ekran to jeszcze nic w porównaniu z otworem, do którego Marjory musiała wsuwać odrobione lekcje i prace kontrolne.

Pisała je przy pomocy specjalnego kodu, którego nauczono ją kiedy miała sześć lat, a nauczyciel w mgnieniu oka oceniał te prace i stawiał stopnie.

Inspektor ukończył już reperację, pozbierał narzędzia, uśmiechnął się i pogłaskał Marjory po głowie.

— To nie jest wina dziewczynki, Mrs. Jones — powiedział do matki. — Po prostu sektor geografii był trochę przyśpieszony. Czasem tak bywa. Wyregulowałem go do poziomu dziesięcioletniego. Przeciętna wyników nauczania dziecka jest raczej zadowalająca.

Inspektor znów pogłaskał ją po głowie.

Marjory była rozczarowana. Miała nadzieję, że nauczyciela zabiorą na pewien czas. Tak było z nauczycielem brata.

Popsuł się sektor historii i wtedy Tommy nie miał lekcji przez cały miesiąc.

Dlatego powiedziała:

— Nie rozumiem dlaczego ktoś pisał o szkole.

Tommy zrobił poważną minę.

— A dlatego, że to nie jest taka szkoła jak u nas, głuptasku. Ta, o której piszą, jest zupełnie inna, bardzo stara, sprzed kilkuset lat.

Marjory poczuła się obrażona.

— Skąd mam wiedzieć, jakie wtedy były szkoły?...

Przez chwilę czytała mu przez ramię, a potem powiedziała:

— U nich też był nauczyciel!

— Oczywiście, ale to nie był prawdziwy nauczyciel. To był człowiek.

— Człowiek? Czy człowiek może być nauczycielem?

— To wcale nie jest takie trudne. On po prostu opowiadał dziewczynkom i chłopcom, zadawał im prace domowe, pytał.

— Człowiek by sobie z tym nie poradził.

— Jeszcze jak! Nasz ojciec umie tyle co nauczyciel.

— To niemożliwe. Człowiek wszystkiego nie zapamięta.

— Możemy się założyć, że umie tyle samo.

Marjory ustąpiła.

— Ale mimo to nie chciałabym, żeby w naszym domu mieszkał jakiś obcy człowiek — powiedziała.

Tommy zaczął się głośno śmiać.

— Marjory, ty w ogóle nie masz o tym pojęcia! Ależ zrozum, nauczyciele nie mieszkali w domach uczniów. Był wtedy specjalnie wydzielony budynek, do którego wszystkie dzieci przychodziły.

— I wszystkie dzieci uczyły się takich samych przedmiotów?

— Naturalnie, w zależności od wieku.

— A mama mówi, że nauczyciel powinien być nastrojony i dostosowany do poziomu umysłowego każdego chłopca albo dziewczynki, i że każde dziecko należy uczyć indywidualnie.

— No tak, ale wtedy w ten sposób nie robiono. A jeżeli tobie to się nie podoba — możesz nie czytać.

— Tommy, przecież ja nie mówię, że mi się nie podoba — szybko powiedziała Marjory.

Pochyliła się nad książką. Z wielkim zainteresowaniem czytała o tych dziwnych szkołach.

*

Nie zdążyli jeszcze przeczytać połowy, kiedy weszła mama:

— Marjory, szkoła!

Marjory uniosła niechętnie głowę.

— Mamusiu, jeszcze trochę.

— Szybko — powiedziała Mrs. Jones. — Tommy, na ciebie też już czas.

— Tommy, czy po lekcjach będę mogła jeszcze z tobą poczytać? — prosiła Marjory.

— Zobaczymy — powiedział obojętnie Tommy i odszedł z książką. Słyszała jak gwiżdże na schodach.

Marjory weszła do pokoju, który był jej szkołą. Mechaniczny nauczyciel był już przygotowany i czekał na nią. On zawsze czekał na nią o tej samej porze, codziennie oprócz soboty i niedzieli. Mama mówiła, że dziewczynki lepiej się uczą, jeżeli ich lekcje odbywają się regularnie.

Ekran płonął i na nim ukazały się słowa: „Dziś na kolejnej lekcji matematyki będziemy przerabiali dodawanie ułamków. Do otworu proszę włożyć pracę domową".

Marjory westchnęła. Pomyślała wtedy o tamtych szkołach, kiedy jej pradziadek był małym chłopcem. Dzieci razem siedziały w klasach, razem wybiegały na przerwy, razem wracały do domu. Mogły sobie pomagać przy odrabianiu lekcji, mogły mówić o szkole.

I nauczyciele byli ludźmi...

Mechaniczny nauczyciel wypisał na ekranie: „Kiedy dodajemy ułamki 1/2 i 1/4..."

Marjory myślała o tym, że wtedy dzieci na pewno kochały szkołę, były szczęśliwe i że było im bardzo wesoło...

**Przełożył:**
**ROMAN GORZELSKI**

*„Astry"* *Fot. A. Idziński*

Adam Idziński to fotografik dobrze znany naszym czytelnikom: pamiętamy te piękne, pełne szlachetnej prostoty prace, które nie raz zdobiły łamy „Odgłosów". Adam Idziński jest członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików, jego wystawy cieszą się zawsze dużym uznaniem krytyki. O ich popularności świadczyć może sukces ostatniej wystawy łódzkiej, niedawno eksponowanej w lokalu CBWA przy ulicy Piotrkowskiej 102.

Prace, które zamieszczamy w bieżącym numerze stanowią tylko przyczynek do wspomnianej ekspozycji, dają jednak wyobrażenie o szerokich możliwościach twórczych artysty.

# PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

## Lewym okiem

### TRAWIENIEC W POWIĘZI

*Pośród wielu zanikających umiejętności i zawodów, a może nawet kunsztów, do wyraźnego upadku chyli się też sztuka kucharska. Nie ma już wielkich smakoszów, goniących po świecie za jeszcze inaczej przyrządzoną pulardą, czasem tylko w pociągu starsi panowie popisują się swą niegdysiejszą znajomością rozlicznych knajp i restauracji oraz ich prostych a pamiętnych specjalności: tu pyzy, tam schaboszczak, ówdzie karp... ale jakie!*

*Cóż z tego, że prawie każde czasopismo — ba, nawet niektóre gazety codzienne zamieszczają porady i przepisy kulinarne, przy czytaniu których aż ślinka do ust idzie?... Te porady adresowane są do naszych żon, do ściśle indywidualnych kuchennych „warsztatów pracy". Żony jednak nie mają czasu na takie głupstwa, nie mówiąc o tym, że i tak nigdy wszystkich potrzebnych składników kupić by nie mogły. Więc przepisy są, ślinka idzie, rozkoszy podniebiennych nie ma.*

*Kucharze zawodowi, ci po skończonym technikum gastronomicznym i ci praktycy z wiedzą nabytą, urzędujący przy wielkich kotłach stołówek, barów, restauracji — ci nie czytają prasowych nowinek kulinarnych. Dla nich przeznaczona jest inna literatura, ściśle fachowa, na szczęście niedostępna bywalcom lokali publicznych. Mówię: na szczęście, po przy tej lekturze nie idzie ślinka, a raczej przeciwnie — podejrzliwie patrzy się potem na najpiękniej zrumienioną pieczarkę. Mniejsza o terminologię, brzmiącą dla laika dość egzotycznie. Można się zgodzić, że surowcem podstawowym przy produkcji flaków wołowych (tu, w gronie fachowców, nie mówi się już o gotowaniu, ani o przyrządzaniu potraw, tylko poważnie: o produkcji) są — jak chce norma — „żwacze, czepice, księgi i trawieniec". Natomiast coś się w człowieku zaczyna niepokoić, gdy w tejże normie przeczyta, że „dodatki i przyprawy powinny wykazywać pełną przydatność, nie mogą być zatęchłe, zrobaczywiałe, spleśniałe, oraz nie mogą posiadać obcych zapachów i zanieczyszczeń".*

*To o flakach. Co do bigosu — „niedopuszczalne jest stosowanie mięsa i jego przetworów wykazujących cechy nieświeżości, jak oślizłość, omulenie, zjełczenie, zmiana barwy, zmieniony smak i zapach oraz zanieczyszczonych i wykazujących obcy smak i zapach". W bigosie — „przy podgrzaniu do temperatury około 40 stopni C sos wraz z wytopionym tłuszczem może nie wypełniać całkowicie przestrzeni powietrznych pomiędzy cząsteczkami kapusty i innymi składnikami stałymi. Niedopuszczalne występowanie odłamków kostnych, powięzi oraz resztek osłonek sztucznych".*

*W cynadrach obowiązuje „barwa szarobrunatna, niedopuszczalne plamy szarozielone". W befsztyku tatarskim — „konsystencja miękka, plastyczna. Po naciśnięciu palcem powstaje wgłębienie. Powierzchnia lekko błyszcząca, wilgotna, nie lepka". Tak chcą normy, publikowane w Dzienniku Urzędowym Ministerstwa Handlu Wewnętrznego. Setki ludzi krąży po kraju i sprawdza, czy bigos i cynadry odpowiadają tymże normom. Sposób sprawdzania jest zresztą także znormalizowany, jak we wszystkich gałęziach gospodarki narodowej. Bierze się próbki i bada organoleptycznie, fizycznie, bakteriologicznie, chemicznie. Najczęściej właśnie organoleptycznie. Odbywa się więc — na próbce 250-gramowej — „sprawdzanie zapachu: wykonać w temperaturze 18-20 stopni przez wąchanie powierzchni a następnie przez wąchanie bezpośrednio po dokonaniu przecięcia, zamieszania lub przelania. W przypadku gdy zapach budzi zastrzeżenia, próbkę podgrzać w kąpieli wodnej".*

*„Sprawdzanie smaku — wykonać przez żucie lub rozpuszczenie w ustach próbki przez okres około 1 minuty. Następnie próbkę usuwa się z ust i określa smak oraz wyróżnia ewentualne posmaki. W przypadku przeprowadzenia kilku kolejnych prób smakowych, przed każdą następną próbą smakową jamę ustną należy odświeżyć".*

*Jasno i wyczerpująco. Jednego wszakże obawiam się i nic na to nie poradzę. Że trawieniec nie był zatęchły ani omulony, że sos nie wypełnił przestrzeni pomiędzy cząstkami powięzi, że cynadry nie miały plam szarozielonych, że befsztyk po naciśnięciu palcem wykazał wgłębienie lekko błyszczące, że to wszystko obwąchaliśmy bezpośrednio po dokonaniu zamieszania i nawet okazało się, że nie trzeba podgrzewać w kąpieli, a mimo wszystko nie można było tego nazwać dobrymi flakami, bigosem i tatarem.*

*Co wszyscy znamy z powszechnego doświadczenia.*

*ĆWIEK*

**Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17, Zam 1023.IV.65. N-11**